



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

### Wydawca Michał Glücksberg

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KANTORZE DRUKARNI

**Piotra Laskauera i S-ki.**

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza“ po kop. 15 za wiersz pełnym lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zł. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

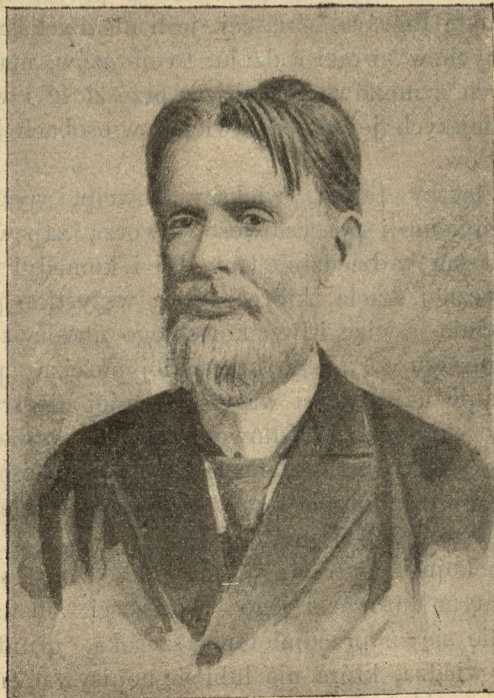
## Adam Bełcikowski.

Czterdzieści lat uczciwej, zacnej i sumiennej pracy literackiej, cały prawie żywot od najwcześniejszej młodości poświęcony piśmiennictwu, to poważny tytuł do wieńca zasługi, którym wdzięczne społeczeństwo wynagradza takich jubilatów, jak Adam Bełcikowski; należał mu się tem bardziej gorętszy hołd uznania, że się nigdy o niego nie upominał, nigdy nie wysuwał naprzód, trzymał zawsze na uboczu, skromnie i cicho, oddany ciągle umiłowanej pracy i twórczości, pomijany często i niedoceniany należycie. Nie gryzło go to, nie nurtowało i nie wytwarzało w nim żółciowej goryczy, jaka przepaja umysły i serca bardziej zarozumiałych, niż ambitnych wielkości, które często same sięgają po laury niezem jeszcze nie zasłużone i radeby z nich obedrzeć każdego współzawodnika, nawet z większem i dłużej stwierdzanem prawem do uznania.

Jako młodzieniec, napisał niegdyś Bełcikowski wiersz: „Do doktora M.“ w Owsijówce, którego poznał, bawiąc na Podolu; otóż w tym wierszu, zaliczając swego znajomego do zapoznanych ludzi zasługi, tak się wyraził:

„I niech ci ta świadomość zapewnieniem będzie, że choć źle w świecie, ale nie zawsze, nie wszędzie; że choć uznanie ludzkie bardzo opieszale, lecz im późniejsze, większą przyno-

si nam chwałę, że chociaż mało cenić nawykł świat zasługi, — w czem ci jeden zawini, odwdzięczy ci drugi.“



Adam Bełcikowski.

Ta szlachetna wyrozumiałość i pobłażliwość, ta wiara w sprawiedliwość losu i zwycięstwo rzeczywistej wartości moralnej każdego człowieka pracy, które wcześniej czy później musi mu przypaść w udziale, cechowała Bełcikow-

skiego przez całe życie i doczekała się nagrody.

Przed dwoma tygodniami w Krakowie obchodzono uroczyste jubileusz czterdziestoltni zasłużonego pisarza, wystawiono w teatrze miejscowym nową jego komedię historyczną, p. t.: „Pan Pasek“, a następnego dnia podejmowano go ucztą w „Kole literackiem.“

Przed laty piętnastu, gdy święcił swoje srebrne gody, wydano ku uczczeniu jego 25-letniej działalności pisarskiej, spory tom „Studiów nad literaturą polską“, nakładem Teodora Paprockiego w Warszawie; Piotr Chmielowski poprzedził to wydanie obszernym życiorysem i rozbiorem twórczości jubilata, który przedrukował następnie w swojej „Literaturze dramatycznej“, do niej przeto odsyłamy czytelniczki, pragnące zapoznać się bliżej z krytyczną oceną twórczości Bełcikowskiego, tutaj nadmieniając tylko w pobieżnym artykule o ważniejszych szczegółach i datach.

Dzisiejszy jubilat urodził się w Wilię Bożego Narodzenia r. 1839-go w Krakowie, tam uczęszczał do gimnazjum św. Anny i na wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego; najwcześniejszą młodość swoją spędził w atmosferze podniosłej i w otoczeniu rówieśników, którzy następnie zasłynąć mieli na rozmaitych polach literatury i sztuki, jak: Szujski, Tadeusz Wojciechowski, Stanisław Tarnowski, Michał Bałucki, Edward Lubowski, J. K. Turski, Artur Grottger, Jan Matejko, Leopolski, Gryglewski i inni.



Było to w gorących czasach po r. 1860-ym; w Krakowie wychodziło pismo dla kobiet, założone przez J. K. Turowskiego, p. t. „Niewiasta,” i w niem z wielu innymi Belcikowski rozpoczął drukować swoje młodzieńcze utwory, pisywane na ławie szkolnej. Studenckie wiersze i pierwsze nieśmiałe próbki jego talentu ukazywały się tam w druku przed laty czterdziestu; nie one jednak miały zgotować rozgłos dzisiejszemu jubilatowi, który najwięcej zasług położył w dziedzinie poważnych studyów literackich i dramatisarstwa.

W roku 1866-ym zarząd b. Szkoły Głównej w Warszawie zaważwał Belcikowskiego na katedrę literatury polskiej i zamianował go docentem, na podstawie rozprawy konkursowej o Reju, która zwróciła na niego uwagę sędziów; młodociany wiek autora, który tak niedawno sam wyszedł z auli uniwersyteckiej i nie zdążył zdobyć jeszcze głośniejszego nazwiska, stanął na przeszkodzie nominacji jego na profesora zwyczajnego. Po za konkursem zamianowano tedy znanego krytyka Alexandra Tyszyńskiego profesorem, a Belcikowskiemu oddano tylko docenturę, z widokami na przyszłość; nadzieje jednak zawiodły, bo już następnego roku po rozpoczęciu przez niego wykładów, Szkołę główną w roku 1868-ym przekształcono na Uniwersytet, z językiem wykładowym rossyjskim, i Belcikowski musiał powrócić do Krakowa, gdzie po kilkuletnich próbach zajęcia stałego stanowiska nauczycielskiego, bądź to w jednym z gimnazyjów miejscowych, bądź też w Uniwersytecie Jagiellońskim, otrzymał posadę w Bibliotece Jagiellońskiej, na której od roku 1876-go do tej pory pozostaje.

Literacka działalność Belcikowskiego była różnolita, pisywał poezye, komedye, dramaty, powieści, nowelle, monografie, krytyki i studia; we wszystkim znać było sumienną pracę i talent, znajomość źródłową przedmiotu, szlachetny grunt moralny i wielkie poszanowanie dla języka, którym jako stylista władał nader umiejętnie, dbając zawsze o jego czystość i poprawność.

Nie tu miejsce do krytycznego rozbioru i szczegółowej oceny tych różnorodnych prac i rodzajów jego twórczości; przez lat czterdzięci zbierało się sporo tego plonu, w którym musiały się znaleźć różnej wartości ziarna, ale nigdy nie było pomiędzy nimi kłokolu.

Najobficiej zasiewał rolę dramatu i to historycznego, któremu tak nie wiele talentów u nas się poświęcało; wielkich, wybitnych w tym rodzaju zdolności nie mieliśmy niestety nigdy, na palcach dałoby się policzyć dzieła prawdziwie udatne i takie, które w literaturze zajęły miejsce poczesne i trwałe. Za zasługę przeto można poczytać Belcikowskiemu, że w czasach jeszcze mniej przychylnych temu rodzajowi twórczości, usiłował uprawiać ten ugór literacki i na ile mu talentu i natchnienia starczyło, pragnął przysporzyć scenie dzieł w wyższym, szlachetniejszym stylu. Dążenie to było śmiałe, praca niewdzięczna dla dramaturga w naszych warunkach, którego do niedawna jeszcze wszystko raczej zrażać, aniżeli zachęcać mogło do takiej twórczości. Komedypisarz i dramatyk miewał mnóstwo kłopotów już nie tylko z wpro-

dzeniem swej sztuki na scenę, ale nawet z ogłoszeniem jej w druku, a zwłaszcza sztuki historycznej, do której publiczność nigdy nie okazywała u nas wielkiego zamiłowania, a czytelnicy wiele ciekawości; niech to będzie na korzyść dawnej redakcyi „Bluszczu” za pewną zasługę poczytanem, że jedna z pierwszych pomieściła w swem piśmie tragedye Belcikowskiego: „Franczeskę di Rimini” (1873) i „Króla Władysława Warneńczyka” (1877), co dzisiaj przypomnieć się godzi.

Do najcenniejszych utworów jubilata krytyka zalicza: „Mieczysława II-go,” uwieńczonego na konkursie lwowskim, „Bolesława Śmiałego,” „U kolebki narodu,” dramat podaniowy, uwieńczony również na konkursie galicyjskiego Wydziału krajowego i komedye historyczną: „Dwaj Radziwiłłowie.”

„Właściwym zadaniem komedyi historycznej — powiada P. Chmielowski, — może być zbliżenie dla wyobraźni społecznych tła dziejowego, obyczajów i kostyumów minionych; przynajmniej dotychczas nie udało się nikomu odnaleźć odrębnej, wewnętrznej, psychologicznej cechy charakterów, któraby komizm ich przeciwstawiała komizmowi charakterów dziś żyjących; to też i komedye historyczne Belcikowskiego głównie mają na celu ową zewnętrzną charakterystykę zwyczajów, obyczajów i mowy ubiegłych wieków, a dla silniejszego zaznaczenia historyczności powikłań opowiedzianych, wprowadzają figury, mające głośne imię w dziejach.”

Korzeniowski, Małecki, Szujski, Kraszewski uprawiali mimochodem ten rodzaj, — autor „Króla Don-Juana,” „Dwóch Radziwiłłów,” „Przekupki warszawskiej” i ostatnio wprowadzonego na scenę „Pana Paska” (który ma być najudatniejszym utworem jubilata właśnie pod względem charakterystyki tej zbiorowej duszy kontuszowej z czasów minionej „szlachetczyzny”), starał się i w tym kierunku obok tragedyi historycznej przysporzyć scenie i literaturze naszej, jeśli nie dzieł skończonych w swoim rodzaju, to obrazów, malujących z możliwą wiernością przeszłość i wybitniejszych jej przedstawicieli w osobach bohaterów.

Większy talent, większy dowcip, wyższe natchnienie i pomysłowość stworzą zapewne z czasem w dziedzinie tragedyi i komedyi historycznej dzieła, które zaemią wszystkie poprzednie, a więc i Belcikowskiego utwory sceniczne, ale co z jego literackiej puścizny zostanie najdłużej i wartości swojej nie straci, to sumienne, źródłowe, poważnie opracowane studia monograficzne z różnych epok naszego piśmiennictwa, a zwłaszcza z wieku XVII-go i XVIII-go.

Spokojny, wytrawny, nie uprzedzony sąd o danym autorze i jego twórczości, obznajmienie się z przedmiotem, szeroka, gruntowna wiedza, która nie lubi się popisywać erudycją, styl jasny, prosty i ścisłość wyrażenia cechują ten rodzaj jego prac, które mu wśród krytyków i badaczy literatury polskiej nader poczesne miejsce zapewniły.

Pod tym względem zbiorowe wydanie jego „Studyów” zasługuje na jak najszerszą poczytność, bo należy do ksiąg prawdziwie pożytecznych i pouczających, z których w przystępny sposób wiele rzeczy dowiedzieć się

i o wielu sprawach, dziełach, autorach łatwym zachodem należytego pojęcia nabrać można.

Po czterdziestu latach owocnej, uczciwej, sumiennej pracy, dostał mu się w hołdzie dobrze zasłużony wieniec jubilata, który zarówno należał się Belcikowskiemu, jako uznanie dla pisarza, ale nie mniej jako wyraz czci dla człowieka wielkiej zacności charakteru, skromności i prostoty, bez złości i zawiści, bez wygórowanego rozumienia o sobie i pretensyi do chwalby, którą tylu młodszych a bez porównania mniej uprawnionych tak często grzeszy niepomierne.

„Nie sztuka żyć, gdy szczęście sprzyja! — pisał w jednym ze swoich poematów p. t. „Serafina;” — kto nie dojdzie do jadu, goryczy nie spija, — ten spełnił kielich życia tylko do połowy, ten nie godzien po wieniec nachylić swej głowy...”

Miał słusność, ale i miał prawo schylić głowę po wawrzyny, które go dzisiaj uwieńczono w nagrodę, a które oby jeszcze Bóg pozwolił ozłocić po dziesięciu latach dalszej pracy i twórczości, których braknie do złotych godów jego z literaturą!

M. G.



Julia Terpilowska.



## PRYZYSTAN.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

Mewa się uśmiechnęła i dodała:

— Bo czemuś się mnie nie poradził, niewytrawny młokosie? jabym ci była odrazu powiedziała, że ta pedantka tak się zna na fircie, jak wilk na poziomkach.

Zaśmiała się dźwięcznie, rzuciła ojcu całusa, i w kwadrans potem wbiegała na podwórko Zagrody.

Malwa czerpała wodę, a Jur poił konie. Mewa wsparła się wdzięcznie o cembrowinę krynicy i zaszczebiotała wesoło:

— A ja dziś do państwa z inwitacją: progumego przekraczać nie chcecie, ale do ogrodu chyba przyjsz raczycie, prawda?

— Układa pani zabawę kwiatową dla Obrywińskich chłopów? — spytała z uśmiechem Malwa.

— Układam garden-party z lawn-tennisem — odpowiedziała z ożywieniem. — Dziś przyjeżdża do nas na parę dni nasza dalsza sąsiadka, hrabina Wszelaczyńska z dwoma córkami, zaprosiłam dwóch partnerów — Dzieka Krzyskiego i Fryda Grübera — i na was także liczę.

— Mnie niech pani ma za wymówioną, — rzekła Malwa.

— Spodziewałam się tego! — zawołała Mewa, rada w duchu z jej odmowy, — ale pan Jerzy nie wykręci mi się. Szara bluza nie źle ujdzie, jako kostyum tenisowy, a rakieta mam dla pana doskonałą!

Jur wahająco spojrział na siostrę, Mewa podchwyciła to spojrzenie, i rzekła żywo:



— Panno Malwo! niechże pani nie zamyka brata w kasie ogniotrwałej i choć na parę godzin odpruje go od swojej spódniczki!

— Jest to rzecz za małej wagi, żebym miała występować z interwencją — i radzić lub odradzać, — odparła Malwa, trochę dotknięta.

— Więc przyjdzie pan, prawda? Umyslnie wybrałam niedzielę, żeby się pan nie wymówił brakiem czasu, — nalegała Mewa.

— A właśnie jutro nie będę miał czasu, — drożył się Jur.

— Cóż pan będzie robił?

— Będę miał konferencję.

— Z kim znowu?

— Z moimi sąsiadami w siermięgach.

— Aha! jakaś psycho-fizyo-socjologia... bardzo im to potrzebne!

— Żadna logia, tylko przeczytamy sobie „Gazetę Świąteczną“, a potem pogawędzimy w gospodzie przy szklance piwa.

— Poszlę im ostatni numer „Times'a“ i kosz szampana, to się i bez pana równie dobrze ubawią; a pan jutro do mnie niepodzielnie należy. Tylko jutro — czy to za wiele?...

Błysnęła oczyma z pod szerokiego kapelusza, spojrzenie podkreśliła uśmiechem, a Jur pomyślał, że Mewa jest jednak bardzo miła i że bardzo też miło będzie pokazać Klarze, jak ona go pociąga i jak on jej pociągać się daje. Lubił przytem grać w tenisa, więc odpowiedział, kłaniając się z uśmiechem:

— Niechże się pani przygotuje do rumienienia się za mnie przed swoim towarzystwem!

— Dobrze! będzie pan mógł stwierdzić, czy dobrze się rumienię. Dziękuję — i do widzenia! Czekam jutro o drugiej. Po południu, nie po północy, proszę się nie omylić!

Wybiegła, śmiejąc się, a Jur rzekł do siostry:

— Co za trzpiot z tej dziewczyny!

Malwa milczała.

— Wypada mi pójść tam na chwilę — mówił dalej. — W mojej nowej szarej bluzie będę wyglądał na zaściankowego sportsmena, nie gorzej.

— Daj pokój szarej bluzie — rzekła Malwa, — i ubierz się lepiej tak, jak drudzy.

— Jakto, jak drudzy?

— Mam gdzieś na strychu parę sportowych kostyumów, które wzięłam z sobą, wyjeżdżając z Paryża, bo wyobrażałam sobie, że się przydadzą do gospodarskiej roboty. Odświeżę jeden z nich, i tak będzie ci najrzęczniej.

— Dziękuję ci. A może i dla ciebie znalazłby się kostyum?

— Może, ale ochota nie znalazłaby się. Wolę pójść z „Gazetą Świąteczną“ do gospody.

Nazajutrz po południu Jur, w ubraniu z żółtawej flanelki, w tenisowych trzewikach i fantazyjnej czapeczce, przechodził ścieżką obok plebanii, a zobaczywszy w ogródku Klarę, przystanął koło furtki.

Klara, ubrana w niedzielną białą sukienkę, sama lekka i przejrzysta, jak jej muslinowy rąbek, siedziała pod dużym krzewem białych róż, z których jedna osypała się śnieżnymi płatkami na jasne włosy, okalające delikatną twarzyczkę bladą, która wyglądała też, jak płatek białej róży.

Jur ogarnął wzrokiem drobną postać w śnieżnych obsłonkach, i rzekł:

— Pani wygląda zupełnie, jak umarłe dziecko.

W odpowiedzi uśmiechnęła się tylko, nie wiedząc, czy to ma być uprzejmość, czy złośliwość z jego strony. Jur był z nią obecnie zmienny, jak marcową pogodą: to jej dociał przymówką lub szyderstwem, to znów rzucił nagle tkliwe spojrzenie lub słówko serdeczne.

— Szkoda dziecka, bo było ładniutkie i bardzo miłe — mówił dalej, patrząc na nią dziwnie, niby czule, a niby ironicznie. — Ale musiało umrzeć, bo miało organiczną wadę serca.

— Jaka? — zapytała z wahaniem.

— Stwardnienie tkanek.

— Panie Jerzy! — szepnęła, podnosząc na niego smutne oczy błękitne, — dlaczego pan myśli, że ja mam twarde serce?

— Dlatego, że pani jest zdolną chłodem idealistycznych mrzonek zamrozić ciepłe tętno rzeczywistości, — odparł szorstkim tonem, myśląc o wypowiedzianych przez nią słowach, że „spółka życiowa jest niemożliwą przy braku wspólnych ideałów.“

Jej także przyszła na myśl pamiętna chwila na cmentarnym okopie, i rzekła żywo:

— To nie mrzonki! to rzeczy, których nie można zmienić!

— Moznaby, gdyby nie upór kobiecy.

— Dlaczegoż u kobiet nazywać uporem to, co u mężczyzn nazywa się przekonaniem?

— A niechby pani sobie zatrzymała swoje przekonania, tylko niechby ich pani od innych nie wymagała!

— Mój Boże! czyż ja czegokolwiek wymagam? Ja tylko mówię, że... że....

— Że wspólne życie byłoby dla pani niemożliwym z kimś — coby nie dzielił wszystkich wierzeń pani... Czy tak?

— Tak — odparła z cicha, — oblewając się różową falą.

— Panno Klaro! — rzekł również z cicha, przechylając się ku niej po nad furtką; — czy pani tego nie zmieni ani teraz, ani później?...

— To się nie może zmienić nigdy!... — zawołała stanowczo, zaciskając na piersiach drobne ręce.

Jur przyciął wargę zębami i odwrócił głowę.

— Ach! — rzekł po chwili z żywością, — zakwitły te róże, które panna Mewa tak lubi! Niech mi pani zerwie jedną dla niej. Dostanę za to śliczny uśmiech, pełen serdecznego ciepła, jakich nie skąpi nigdy ta prawdziwie kobieca natura...

Klara zerwała różę drżącymi palcami, i zadrasnęła się do krwi kolcem. On wziął z jej ręki pyszny kwiat blado-złoty z czerwieniejącą na płatku kropelką, i rzekł, wskazując na nią:

— Co to? krew?... pani ma w żyłach krew?

— A cóżbym miała? — spytała zdziwiona.

— Myślałam, że wodę święconą.

Opuściła rzęsy, przytrzymując niemi nadbiegające do oczu łzy, ale nie wstrzymała, i dwie duże krople stoczyły się wolno po bladej twarzyczce.

— Panno Klaro!... łzy?... — zawołał z nagłym wybuchem, chcąc ująć jej rękę.

Ona już się opanowała.

— Nie — odpowiedziała, — usuwając się zleka; to tylko woda święcona przesączyła się

z kamiennej kropielnicy... Życzę panu wesołej zabawy, do widzenia!

Skinęła mu głową z łagodnym uśmiechem, i zniknęła w zielonej gąszczu altanki.

A potem, w altance, za zasłoną róż polnych i dzikiego wina, dała folę długo wstrzymywanym łzom, które jak zerwany sznurek pereł posypały się wzdłuż muslinowej koszulki.

— Dlaczego on mnie tak dręczy?... — rozmyślała żałośnie. — Dlaczego nie może mi darować, że nie oświadczam mu się z gotowością poświęcenia dla niego wszystkiego, czego tylko zażąda?... On taki szlachetny, taki wspaniałomyślny, a tak zawzięcie mi dokucza, — za co?... Za to tylko, że nie zdałam się na łaskę i niełaskę w chwili jego przelotnego kaprysu?... Za to tylko, że zadrasnęłam jego dumę powiedzeniem, że są w życiu rzeczy większej wagi, niż jego miłość?... I dlaczego obeszło go to tak żywo?... Wiem przecież, że nie ze względu na mnie; nie jestem do tego stopnia zarozumiała, abym mogła przypuszczać, że... Nie! ja przecież wiem, że kiedy on czasem tak na mnie spojrzy, przemówi w taki sposób, to nie dlatego, żeby na seryo... To jest tylko ot sobie chwilowe podniecenie nerwów, tylko zwyczajna igraszka światowca... a w gruncie ja go tyle obchodzę, co zeszłoroczna trawa... Sam mi przecież powiedział wtedy, na cmentarzu... a teraz przecież przyznaje się przedemną do swego pociągu do Mewy, tak samo, jak poprzednio przyznawał się do bolesnego zawodu, doznanego od tamtej... I cóżby zresztą mogło mu się podobać we mnie — robaku świętojańskim, kiedy takie złote gwiazdy mrugają na niego z wysoka?... A niech tam! wszystko jedno! bo choćbym także była złotą gwiazdą, tak samo między mną a nim leżałaby ta przepaść — jego niewiara... I nie o to serce boli, czego nie było i nigdy nie będzie; tylko mi żal tej drogiej, miłej, dawnej przyjaźni naszej, na którą on dmuchnął, jak na puchową kulkę polnego brodawnika, nie wiedzieć za co i dlaczego...

Perły posypały się rzęsiście, i sypały się długo jeszcze w cichej samotności ogródka, razem z płatkami róż okwitających, a w tym samym czasie Jur szedł wążką miedzą wzdłuż łanu dojrzewającego żyta, i łamiąc gniewną ręką słaniające się pełne kłosa, mówił sam z sobą, jak człowiek do żywego rozdrażniony:

— Oszalała dziewczyna!... po co ona dręczy mnie i siebie?... I dlaczego ja się dręczyć daję?... zawsze będę pajacem w kobiecem ręku?... Otóż nie! nie poddam się nowemu opętaniu... nie będę myślał o tej dziewczynie, twardej, jak bezduszny brylant... Nie, nie brylant, szafir... oczy dziś miała takie szafirowe... Masz! znowu o niej myślę!... Otóż nie będę! będę się bawił z Mewą... zapomnę...

Nie zapomniał jednak. Myślał i myślał wciąż jedno w kółko, a ponad złotą falą kłosów płynęła przed nim, jak chmurka na błękiecie, drobna biała postać, powiewna i przejrzysta.

Nerwowo podniecony tem pasowaniem się z sobą, wszedł w aleje pałacowego ogrodu — i wkrótce znalazł się obok placu tenisowego, gdzie w otwartej altanie wśród lip rozłożystych zebrane było towarzystwo. Zygmunt



wyszedł naprzeciw niego, przywitał serdecznie, i przedstawił:

— Nasz sąsiad, pan Kaliniecki.

Zająto się przygotowaniami do gry. Mewa przeszła tuż obok Jura, i obrzucając go kompetentnym spojrzeniem, szepnęła:

— Dziękuję!... Teraz z pana prawdziwy Paryżanin.

A siostry Wszelaczyńskie, niebrzydkie, przeciętne panienki, w zgrabnych kostyumikach różowo-prążkowanych, rzekły do siebie zcicha:

— Bardzo przystojny... bardzo elegancki... bardzo dystygowany...

Jur uczył się od razu, jak u siebie, na tym tak dobrze mu znanym towarzyskim gruncie, a że był jeszcze podniecony i chciał się odurzyć, więc zrobił się bardzo ożywionym, rozmawiał z werwą i dowcipem, a jego czarno-złote oczy tryskały życiem i wyrazem.

Pani Wszelaczyńska, osoba wspaniałej tuższy, szaremi jedwabiami niemilosiernie skrepowana, do szpiku kości przejęta rolą matki panien na wydaniu, wodziła za nim czas jakiś szklami lornetki, a potem rzekła do pani Rejskiej:

— Pan Kaliniecki jest blizkim sąsiadem państwa?

— Bardzo blizkim.

— Mieszka stale na wsi?

— Stale.

— Sam gospodaruje.

— Sam.

— Piękną ma posiadłość?

— Niezmiernie malowniczą! — odpowiedziała za panią Rejską Mewa, która nasłuchiwała rozmowy, a teraz podeszła do dwóch pań.

Pani Wszelaczyńska uśmiechnęła się pobłażliwie.

— Ty, kochanie — rzekła, — oceniasz posiadłość podług jej estetycznego wyglądu; ale osoby praktyczne zwracają uwagę na co innego. Czy to wielki majątek?

— Ach, kochana hrabino! — odpowiedziała Mewa, — wielkość jest rzeczą tak względną: mrówce wydaje się wielkiem mrówisko, a dla Napoleona Europa była za małą. Ciekawam bardzo, gdzie pani robiono tę suknię? stanik leży, jak oklejony?

(Ciąg dalszy nastąpi).



## PRZYCZYNY I SKUTKI.



### III.

Jedną z najtrudniejszych stron w wychowaniu dzieci, jest nieustanna czujność wychowawców, by o słabą duszę, a wielką wrażliwość dziecka, nie uderzyło niespodzienie z brutalną bezwzględnością pojęcie złego, w całej jego petędze i szkaradzie. Zbytecznym byłoby dowodzić konieczności tego czuwania.

Czy pozwolilibyśmy dziecku dźwignąć ciężar, przenoszący słabe jego siły fizyczne?

Tę samą obawę czuć powinniśmy, gdy idzie o porwanie pajęczej delikatności strun duszy dziecięcej.

Poznanie przedwczesne ogromu złego, przytłoczy ją głazem ciężkim, z pod którego nie

wzniesie się już nigdy do wzlotu w krainę ideału.

Dlatego czynność tę, nad niewpuszczeniem do wnętrza duchowej istoty dziecka rabusia, któryby ją spustoszył i okradł z najdroższego skarbu: z wrażliwości, uważam wprost za *dogmat*, za *prawo* obowiązujące każdą matkę, pod grozą wyrządzenia niewinnym, a najukochańszym istotom krzywdy niepowetowanej.

A jednak ileż to nadużyć i wykroczeń przeciw temu prawu, popełnia się na każdym kroku! Ileż matek najmocniej kochających, zabija bezpowrotnie wrażliwość ową, przez niezdawanie sobie wprost sprawy, że to czynią, a w pewnych razach, przez obłudne przeświadczenie, że działają dla moralnego i intelektualnego rozwoju swych dzieci.

Do pierwszej kategorii tych wykroczeń matek, zaliczam dopuszczanie do poufałości między dziećmi a służbą, która rzadko kiedy zawaha się przed wtajemniczeniem swych młodocianych słuchaczy w najbrudniejsze strony życia, oświetlonego nb. z ich własnego punktu widzenia; następnie zbytnią delikatność towarzyską, gdy osoby przybyłe w odwiedzinę, gorszą niewinne uszy obecnych dzieci, lekkomyślnem traktowaniem najświętszych uczuć i pojęć i wreszcie lekceważenie tego, co dzieci czytają.

Rozumie się, że wszystkie te uwagi odnoszą się do dzieci starszych od lat 10-iu do 15—16.

Belletrystyka dzisiejsza maluje przeważnie jaskrawo, nie troszczy się o narzucanie na swe obrazy gazowych obsłonek i dlatego, na młodzieńcze umysły działa, jak trucizna.

Z książkami atoli rozsądna i baczna matka łatwiej sobie poradzi. Rozumnie pojęta karność domowa, zaufanie i miłość do matki, zwyczaj zamykania szafy bibliotecznej, czujna wreszcie kontrola czynności dzieci, zaradzą przedwczesnemu czytaniu. Lecz co począć z prasą codzienną, a raczej z jej działem wypadków i spraw kryminalnych?

Tu już najbaczniejsza kontrola nie pomoże.

Trzebaby ją rozciągnąć aż do przeglądania każdego świstka niemal gazety, w którą owinięte sprawunki przynosi służąca.

Oto na tle powyższego pytania obrazek wprost rzeczywistości wyrwany:

Przy herbacie wieczornej stół obsiadła rodzina.

Nad kilkoma większemi i mniejszemi główkami, panuje wyniosła postać ojca, obok przy samowarze stoi matka.

Ojciec odkłada na bok czytana przed chwilą gazetę; dziewięcioletni Janek podejmuje ją skwapliwie, chcąc się pochwalić nową jeszcze dla niego umiejętnością czytania i trafia na dział kryminalistyki.

I naraz wśród ciszy, pada między zgromadzonych kilka słów okropnych, a w ślad za tem, bezwiedny winowajca zwraca się do ojca po objaśnienie.

Matka z płomieniami na twarzy, rzuca trwożne spojrzenia na starsze dzieci: dwie córki podlotki i dwunastoletniego ucznia, który domyślnie się uśmiecha, bo parę dni temu służący rodziców, młody chłopak, opowiadał mu o podobnym wypadku.

Ojciec zmieszany, nie umie na razie znaleźć zręcznego kłamstwa, któreby zatuszowa-

ło jaskrawość przeczytanego faktu. A zło już się stało! Ciekawe podlotki w rozmowie z sobą i własnymi myślami, zastanawiać się będą nad potwornym faktem i dyskutować o nim ze służącą, koleżankami i t. d.

Czyż doprawdy tak już potrzebne są ogółowi czytelników wiadomości, które jedynie w „Gazecie policyjnej“ znaleźćby powinny miejsce właściwe? Kto ciekaw, i takby je tam odnalazł i nasycił swój głód do brudów i skandalów. Na moralne zdrowie ogółu działają trująco, a dopóki zwyczaj ten będzie miał moc obowiązującą w prassie codziennej, matki napróżno walczyć będą z tym wrogiem swych dzieci.

Skoro jednak mówimy już o rozkładowych czynnikach, burzących fundamenty etyczne w duszach dziecięcych, nie można pominąć przedstawień cyrkowych.

Nie zaprzeczam, że zdarza się, iż bywają przedstawienia, nie zawierające nic drastycznego, na które można wprowadzać dzieci bez obawy; lecz bywają częściej takie, że znaczne nasze prababki zdrząłyby ze zgrozy i oburzenia na dzisiejsze matki, wiedzące synów i córki na przedstawienia cyrkowe, bez wyboru odpowiedniego programu.

A więc, gdy dla zadowolenia najnikczemniejszych instynktów ludzkich, dopuścimy smutną—zaiste—konieczność takich przedstawień, gdy następnie chcemy dzieciom naszym dostarczać żywej—przyznaję, dla ich wyobraźni przyjemności, czyż z pomocą prassy nie moglibyśmy uzyskać tego, aby przedstawienia w cyrku podzielone były na dwie kategorie: dla dzieci i dla dorosłych?...

Wówczas z całą słusznością postawilibyśmy pod przegięciem opinii publicznej niebaczne matki, których dzieci znajdowałyby się na przedstawieniach dla dorosłych.

Ogólna wrażliwość tak dziś stępieła, że na przykład z zupełną obojętnością *pozwalany* podręcznym firmom naszym i obcym na wyzłoczone, wymalowane jaskrawo, bezpieczne etykiety ich wyrobów i najspokojniej dajemy je dzieciom naszym, jako zabawkę.

Chee się doprawdy zawołać z rozpaczą: O tempora! o mores!...

Nikt dziś nie pamięta, a najmniej rodzice, ci najpierwsi stróże dusz swych dzieci, o surowych słowach Chrystusa: „A ktoby zgorzszyl jednego z tych maluczkich, lepiej, aby mu kamień młyński przywiązano do szyi i zatopiono w głębokościach morskich.“

Wspomniałam poprzednio, że matki przyczyniają wiele szkód moralnych dzieciom, żywiąc przytem przeświadczenie, iż działają na korzyść ich rozwoju duchowego i umysłowego.

Mam tu na myśli wprowadzanie dzieci do teatru.

Liczbę sztuk, na które dzieci wprowadzić można bezkarnie, do minimum zredukować należy. Najzacniejszą tendencją przepojona, jeszcze zawierać będzie jakiś trujący pierwiastek dla duszy dziecka.

Weźmy np. „Zbójców“ Szyllera.

Na ostatniem przedstawieniu, przed miesiącem mniej więcej, było obecnych, jak naliczyłam, do 20-ga dzieci. Obok mnie, w łoży sąsiedniej, siedziała dama z dwojgiem dzieci: chłopczykiem lat 12-tu najwyżej i dziewczynką lat około 9-ju.



Sądząc z ich rozmowy z matką, z ich słusznych uwag i zachwytów nad grą starego hrabiego Moora, były to dzieci rozwinięte i inteligentne.

W akcie drugim, chłopiec mówi do matki: „Mamusi, który z nich gorszy: Karol, czy Franciszek?”

— A tobie jak się zdaje? — odpowiada pytaniem matka.

— Bo ja wiem!... Lubiłem z początku Karola. Ale teraz, skoro został zbójcą, to już chyba lepszy Franciszek. Zbójca przecież ludzi zabija. Chciałbym wiedzieć, dlaczego on i ci wszyscy jego kolledzy zostają zbójcami?

Przy końcu przedstawienia tenże sam chłopczyk mówił z zapalem:

— O mamusiu! Karol to bohater! chciałbym być takim wodzem zbójców, jak on!

— No, to przecież nie trudnego! — odpowiada mu z powagą siostrzyczka.

— Gdy będziesz duży, zbierzesz swoich kollegów, pójdziecie do lasu i będziecie zbójcami.

Po chwili mała zwraca się do matki: „Niegodziwy Franciszek — mówi oburzona. — Swojego tatusia kazał żywego zakopać. Jabym naszemu tatusiowi nigdy tak nie zrobiła!...”

— To też widzisz, jak strasznie go Bóg ukarał za tę zbrodnię... — tłumaczy matka.

— Phi!... — wydyma usteczka mała. — To i cóż, że umarł?... Nasza babunia też umarła, a była taka dobra.

Zatem, na przedstawieniu jednej z wyborowych sztuk naszego repertuaru, dwoje tych dzieci (czyż tylko tych dwoje z dwudziestu obecnych?) przyswoiły sobie następujące pojęcia etyczne:

1) Można być dobrym, szlachetnym, a mimo to, być zbójcą i zabijać bliźnich.

2) Mogą istnieć na świecie tak straszne potwory, jak np. syn, zakopujący ojca żyjącego, a chociaż potwór ów umiera potem, to nie żadna kara, boć i dobrzy umierają.

3) Zetknęły się oko w oko z najwyższą szkaradą moralną i z wieczeniem zbrodni.

Świetne, zaiste, rezultaty!

Przed kilku znów dniami, odwiedziłam znajomą, cieszącą się sporą gromadką „Milusińskich.”

Nie zastawszy jej w domu, a słysząc gwar w dzieciennym pokoju, podeszłam niepostrzeżona do drzwi zlekka uchylonych.

Zabawa wrzała tam w całej pełni. Poznałam scenę z „Dwóch malców.” Po pokoju biegał ze scyzorykiem 11-letni Henio, błyskał nim, celował w otaczające go dzieci, krzycząc: „Wszystkich pozabijam, bo nie mam jeszcze lat 16-tu!... Nic mi za to nie zrobią.”

Opodal, przy stole 13-letnia dziewczynka grała *znakomicie* rolę wyuzdanej zbrodniarki i pijaczki Zefirynty; starszy od niej braciszek przedstawiał zbrodniarza La Limace'a, wcale nie źle naśladowując jego bezczelność i wyuzdanie; najmłodszy, 8-letni chłopiec, był Walusiem i nianczony przez starsze dzieci, powtarzał piskliwym głosem: „Ja muszę *krasć*, bo nie mam za co kupić tranu dla chorego braciszka!...”

Skoro mnie spostrzegli mali aktorzy, otoczyli kołem, wołając z zapalem: „Proszę pani, jak my się *slicznie* bawimy. Byliśmy wczoraj na „Dwóch malcach” i takeśmy wszystko doskonale zapamiętali, a teraz odgrywamy to samo.”

Westchnęłam głęboko.

Cóż! sztuka właściwie nie należy do niemoralnych; są w niej przebłyski satyry społecznej, a jednak...

Dusza dziecięca znów staje oko w oko z bezwstydem zbrodni, z bezczelnością najwyuzdańszego zepsucia.

Cóż więc począć?

Wzbronić dzieciom bywania w teatrze?

Szkoda! ze względu, że ma on ogromne, kulturalne znaczenie, kształcąc poczucie estetyczne, rozwijając pojęcia etyki i dobrego smaku.

Oto, co mówi o znaczeniu teatru Zenon Przesmycki:

„Teatr, jako synteza wszystkich sztuk pięknych, przemawiająca jednocześnie do wszystkich stron czy rodzajów wrażliwości, do uczucia, do instynktu, do całej istoty ludzkiej, wszystkimi naraz drogami, może kształcić i rozwijać smak, albo też psuć go, przyczyniać się do podniesienia, albo też do obniżenia kultury estetycznej społeczeństwa.” („Chimera,” t. 2-gi, „Teatr”).

Rozcięciem tego węzła gordyjskiego byłoby założenie Teatru dla dzieci.

Jeżeli zaś na razie jest to niemożliwe, czyby nie można w oczekiwaniu na tę wielkiego znaczenia pedagogiczną instytucję, utworzyć repertuar odpowiedni i kilka, lub chociażby parę razy na miesiąc, dawać przedstawienia w którymkolwiek z Teatrów rządowych, wyłącznie dla dzieci?

Na repertuar złożyłyby się podatne dla tego celu, arcydzieła literatury dramatycznej, o ile się da, historyczne, z których poprzednio wyrzuconoby wszystko, co dla umysłów młodocianych niewłaściwe.

Następnie za pomocą konkursów i zainteresowania się tą sprawą inteligencji i prassy, moglibyśmy wytworzyć sobie specjalną literaturę dramatyczną dla młodzieńczego pokolenia.

Powszechnie dziś dają się słyszeć utyskiwania, na przedwczesną dojrzałość, na brak złudzeń i zapалу u młodzieży. Prawdę mówiąc, my dziś młodych nie mamy.

Są to właśnie skutki obumarcia wrażliwości, stepionej w dzieciństwie, z przyczyn powyżej streszczonych.

Miejmy duszę dziecka w najwyższym poszanowaniu, pamiętając nieustannie, że zanik wrażliwości—to zniszczenie siły odpornej przeciw złemu, a w najlepszym razie, zniszczenie samopoczucia szczęśliwości, a może zmniejszy się w społeczeństwie zastęp młodych staruszek i młodych starców.

Wanda Grot-Bęczkowska (Korotyńska).

## DEOTYMA.

# NAD MODRYM DUNAJEM.

(Z POEMATU „SOBIESKI POD WIEDNIEM“).

(Ciąg dalszy).

Podniosła głowę, zdziwiona, zmieszana.  
Nie jest podobny ten gość do jój brata;  
Nie nowo-grecka pokrywa go szata;  
Ni téż podobny do Baszy, jój pana,  
Ni do nikogo ze znanych jój ludzi.  
Kto to? Czy znowu sen płonny ją ludzi?  
A jój strażnicy, czy ślepi? Czy głusi?  
Którędyż wtargnął do głębi namiotu,  
Zamkniętej zewsząd, jak puzdro klejnotu?  
Ej, chyba to duch być musi.

Ach nie, te oczy, to ludzkie są oczy!  
I wnet się zlekła..... Wstydliwie sploniona,  
Zakryła piersi czarnością warkoczy;  
Chciała i szalem otulić ramiona,  
Lecz zdradny rąbek zsunął się do ziemi.  
Więc choć rękoma na krzyż złożonemi,  
Włos przytrzymała, pochylila głowę,  
By wzrok utaić w cekinów połysku,  
I drżać zaczęła, jak na targowisku,  
Gdy zdjęto gazy różowe.



Nie drzyj! Inaczéj śpiéwa się balladę.  
Gość, jedną rękę przyłożył ku sercu,  
Drugą się oparł o przygiętą szpadę,  
Jedném kolanem przykląkł na kobiercu,  
I wzrok w ljońskiém utopiwszy dziecku,  
Marzący, korny, wołał po niemiecku:  
— «Armido moja! O ty Lurlej Wschodnia!  
«Samo mnie niebo do ciebie przywiodło!  
«Pozwól, niech wezmę twą szarfę za godło.  
«Jalmużnę rzuć dla przechodnia!»

Tu szal jéj podniósł, oglądał w zachwycie  
I za swój ubiór wsunął go na łono,  
Ale nim wsunął, pocałował skrycie.  
Wróżka patrzyła żrenicą zdumioną,  
I ta pieszczota, daleka, nieśmiała,  
Nad wszelką rozkosz słodsza jéj się zdała.  
— Nagle.... głos twardy huknął za namiotem.  
Greczynka jedno wykrzyknęła słowo,  
Jedno, lecz dziwne, bo niemiecką mową;  
Krzyknęła: — «Uchodź!» — A potem....

Co potem zaszło, młodzianek sam niewie.  
Jakieś go ręce chwyciły, uniosły,  
Tak, że gdy Ajaz, Murzyn zły a rosły,  
Wpadł do namiotu, gdy zakrzyknął w gniewie:  
— «Gdzie ten zuchwalec? Tu stała się zbrodnia!»  
Ehe! Nie znalazł już śladu przechodnia.  
Próżno w krąg latał, jak bąk rozwichrzony,  
Próżno się czułgał ruchami padalca,  
Przetraszał fałdy, wglądał za opony,  
Nigdzie nie znalazł zuchwalca.

Nakoniec krzyknął: — «No gadaj-że Pani!  
«Czy tu był człowiek? Tobie to przyjemnie,  
«Widzieć mnie w troskach, i drwić sobie ze mnie,  
«Ale źle czynisz, i Basza to zgani.  
«Powinnaś pomódz, pokazać mi drogę....»  
— «Ja?» — Rzekła dumnie.— «Cóż ja wiedzieć mogę?  
«Spałam głęboko,— coś błysło.... nie powiem,  
«Czy to był człowiek, czy sen? W każdym razie,  
«Jeśli tak czuwasz nad mojem wezglowiem,  
«Zły z ciebie strażnik, Ajazie.»

Tu z bocznej skrytki wyrzała nieśmiało,  
Sługa staruszka, o siwiuchnej głowie.  
— «A co to?» — Rzekła.— «Co tutaj się stało?»  
— «Ha, źle się stało!» — Ajaz jej odpowie.  
«Jam wiernie leżał u wejścia namiotu,  
«Gdy się zatrzęsło od kul i łaskotu.  
«Wstaję, gnam, pytam: Kto strzela? I czemu?  
«Aż tu wartownik stojący zdaleka,  
«Krzyczy, że widział jakiegoś człowieka,  
«Co skradał się do haremu.

«Szukam. Przeszukam tu wszystko do nitki.  
«Aha! Ty stara schowałaś go może?  
«Zaraz ja skrzynię przetrząsnę ci w norze.»  
I kocim ruchem poskoczył do skrytki.  
Sługa szepnęła: — «Skończona rzecz cała.  
«Nie bój się, Pani, jam go już wysłała.»  
— Wnet Murzyn wracał i mrucał: — «Psia dola!  
«Niéma go! Chyba przyśniło się warcie?»  
— Jednakże jeszcze nie ustąpił z pola,  
I u ścian krążył uparcie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Czesław Jankowski.

## Typy niewieście w literaturze XIX-go wieku.

(Dokończenie).

Akcyja dramatu rozwija się w sferze bajecznej, legendowej, nie mającej czasu i miejsca. Sfera ta — z rozmysłem obrana — „przysłania jakby lekką gazową zasłoną zmysłowe szczegóły, łagodzi i zcisza ich brutalną dobitność, pozwalając przez to subtelniejszym przeblyskom bytu pierwotnego wystąpić na jaw, wyraziściej się zarysować, duszę widza czy czytelnika silniej uderzyć.“ Królowna Malene jest córką króla Marcellusa, rezydującego w Harlingen. Zaręczył ją ojciec z księciem Hjalmarem, synem króla-sasiada, rezydującego w Ysselmonde. Król ów, ojciec narzeczonego; zwie się również Hjalmar. Rozpoczynają się powikłania. Na dwór starego króla Hjalmara, do Ysselmonde, przybywa wygnan-

ka, piękna i przewrotna królowa Anna. Czar jej ujarzmiła starego króla, a ona sama poczyna namiętnie kochać młodego, narzeczonego księcia. Intrygi jej doprowadzają do zerwania postanowionego małżeństwa i do wypowiedzenia wojny ojcu królowy Maleny. W zaciętej, krwawej walce król Hjalmar odnosi zwycięstwo. Król Marcellus ginie; natomiast królowa Malena, zamurowana w więzy przez ojca za to, że nie chciała wyrzec się miłości dla księcia Hjalmara, zostaje przy życiu i wydostawszy się z więzienia, spieszy do Ysselmonde, wiedzona nieprzewartą siłą ku byłemu narzeczonemu. Na jej widok księżę Hjalmar szaleć zaczyna z miłości. W królowej Annie, budzi się, rzecz prosta, wściekła

ku Malenie nienawiść. Pod wpływem tej nienawiści zadaje Malenie truciznę, a gdy ta zbyt powoli działa, dusi ją, zmusiwszy do towarzyszenia sobie przy zbrodniczym akcie zniechęconego już zupełnie króla Hjalmara. Stary król dreczony wyrzutami sumienia, wyjawia synowi okropną tajemnicę, że królowa Anna zamordowała Malenę. Księżę Hjalmar zrozpaczony i wściekły, przebijając królową Annę, a potem, u zwłok Maleny śmierć sobie zadaje. Stary król Hjalmar, wstrząśnięty do głębi straszliwymi przejściami, patrząc na trzy obok siebie sztywniejące trupy, dostaje obłąkania.

Powiedziałby kto: niczem w porównaniu najokropniejszego romantycznego melodramatu i naj-



przeraziwsza Szekspirowska tragedia! Powierzchnioby sądził. Oto Przesmycki zapewnia nas, iż w samej tylko Malenie, owej — na pozór — bladej, maryonkowej figurze, „po uważnem wpatrzeniu się, występują na jaw głębie zawrotne a tajemnicze, otwierają się perspektywy bezkresne, wyblaskują światłości olśniewające, zdumiewają odruchy, myśli, uczucia i czyny — zda się — przechodzące jej możliwość, wolę i świadomość.“

Albowiem... albowiem jest w Malenie jeszcze pierwiastek *drugi*, a mianowicie pierwiastek niepodobnych do ścisłego sformułowania czynników i objawów istoty ludzkiej. Jest to właśnie owa „warstwa niepewnych światła i cieniów mistycznych, które tu i ówdzie ciągłość konturu przerywają, przysłaniają postać Maleny mgłami. Za pomocą cieniów tych i błysków chce poeta zwrócić uwagę na tajemnicze ścieżyny wiodące ku utajonym w człowieku światom.“ Spotkanie się z Hjalmarem budzi w Malenie jakby drugą jakąś indywidualność, która rządzi pierwszą (t. j. znanem nam cichem, bojaźliwym dziewczątkiem). Odtąd działać ona będzie pod wpływem władz i sił, leżących po za obrębem jej świadomości — pod wszechwładnym wpływem uczucia, które wszelakoż nie jest miłością w potocznym rozumieniu słowa. To uczucie — wyższe, oczyszczone. To objaw tajemniczego pierwiastku niewytłómaczonych sympatii, pociągów wewnętrznych, atrakcy i ciężań, które stanowią część składową miłości, ale zazwyczaj łącząc się z innymi jej czynnikami, tracą jasność swą i wyrazistość. Romantycy nazwali ongi ów pierwiastek: pokrewieństwem dusz. Malena nie ma względem Hjalmara żadnej kokieteryi, żadnej zmysłowej chuci, żadnego wymagania wzajemności, żadnej cielesnej, zmysłom dostępnej przedmiotowości. A marzenia jej to „kontemplacya własnego uczucia, to zatapiać się i rozplływanie w tajemnych wibracyach jakichś prądów magnetycznych.“ Działa ona jakby bezwiednie, w ekstatycznej omdłałości marzeń, a jakby despotycznie zahipnotyzowana przez to swoje uczucie niecielesne, nadzmysłowe, wychodzące po za pojęcie ogólne, oraz jej własną świadomość.

Z chwilą połączenia się z Hjalmarem, Malena budzi się jakby ze snu somnambulicznego, znika bez śladu otaczająca ją, izolująca od świata zewnętrznego atmosfera i Malena jest znowu słabem, bezradnem, bojaźliwym dziewczęciem. Całe czynne jej znaczenie ustaje z chwilą ustania objawów siły nadzmysłowej, która... która okazała się dla niej tak złowrogą! Siła ta pchnęła istotę czystsza i szlachetniejsza, niż Ofelia i Julie, ku katastrofie i śmierci straszliwej, wprowadziła ją w kolizyę ze zmysłowemi żądzami królowej Anny, a opuściwszy ją nagle, skazała Malenę na pewną zgubę. Wysoki tragizm tej postaci — powiada przewodnik nasz po labiryncie dramatu — polega na tem, że Malena nosi zguby swej zarodek w sobie, leży ów tragizm nie w walkach, upadkach i rehabilitacyach, lecz w kontraście między słodyczą, niewinnością i bezopornością Maleny i bezlitosnością losu, który ją druzgocze...

Więc jeszcze jedna — zdruzgotana.

Jakąbądź drogą idzie istota ludzka ku urzeczywistnieniu swych marzeń, zawsze, jeżeli

nie nawpół drogi, to tuż u mety — padnie. Jeśli dumna i wojownicza, padnie — zwyciężona; jeśli łatwowiernie tylko egzaltowana lub w zrozpaczeniu biegnąca na oślep, lub silniejszymi od woli własnej parta czynnikami — padnie ofiarą. Zwyciężoną tytanką lub ofiarą bezlitosnego, nieubłaganego, wszechpotężnego losu, powiedzmy: przeznaczenia lub doli, co ludziom przypadły w udziale. Z zakłętego koła tej wspólnej nam wszystkim doli nie wyłamie się ani jedna z naczelných postaci idealnych niewieścich, co oto przeszły mimo nas po arenie wieku. Zmienia się wygląd zewnętrzny i duchowa istota; dola pozostaje jednaką.

Ale tymczasem, w ciągu owych walk bezowocnych istot ludzkich w ogóle, a w ciągu stopniowego zdobywania przez kobiety upragnionego równouprawnienia, na rolę wśród ludzkości istot niewieścich jeły padać światła coraz to inne. Była kobieta początkowo harremowem biernem bawidełkiem, potem bóstwem zakochanych, potem dopuszczoną łaskami towarzyszką prac płci uprzywilejowanej, potem współniczką dóbr i plonów wspólnymi zdobytymi siłami przez obie połowy rodzaju ludzkiego, następnie przedmiotem wyteżonych studyów, jako istota najciekawsza, najoryginalniejsza, najcenniejsza na ziemskim globie, w ślad za tem jęto powierzać jej misye dotychczas pełnione wyłącznie przez najszczytniejsze jednostki męskie, przez Prometeuszów, Faustów i innych „królów-duchów,“ a jednocześnie wyniesiono kobietę do wyżyn symbolu i upostaciowania najsubtelniejszych wybiegów myśli ludzkich i uczuć. Na schyłku wieku miał ją spotkać jeszcze jeden zaszczyt.

W pewnych sferach, uprawiających „nowy kierunek w sztuce,“ lekce sobie wazających „powierzchnową“ psychologię niewiasty, oraz krótkowidzące studia nad kobietą, zarówno Szekspira, jak Bourgeta, Moliera, jak Balzaka, owianych wonią „Kwiatów“ Baudelaire'a, a zapatrzonych w transcendentalną stronę istoty ludzkiej, o której przed chwilą mówił nam komentator Maeterlincka — zawyrokowało, iż kobieta jest przedewszystkiem źródłem wszelkiego zła na ziemi. To po prostu: *pra-zło*, toczące od wieków wiecznych walkę zwyciężką z mężczyzną, czyhające na jego zgubę, straszliwe i złowrogie. Teoryę tę rozwinięto z odpowiadającą tematowi obfitością mgieł mistycznych i zawitych kojarzeń nie kojarzących się słów. Nie poprzestano na tem. *Exempli gratia*, w poezyi i prozie dano nam obrazy... jakby to powiedzieć, kobiety — *pra-wampira*, kobiet, będących upostaciowaniem najzłobniejszej, najbardziej złowrogiej siły, jednym słowem syren podniesionych do kwadratu, stanowiących jakby żywiół potężny a destrukcyjny, wobec których naiwne z czasów Homera zalewanie sobie uszu woskiem, jest tylko bezcelową zabawką ludzi niedostatecznie niebezpieczeństwa świadomych.

Ta nowa inkarnacya kobiety wyzyskiwana obficie w tak zwanej „modernistycznej“ literaturze wszechświatowej, oraz w dziełach sztuk plastycznych — ma już i w piśmiennictwie naszym wyraźnych odbić kilka.

„Zapomniałem o mej potędze, zapomniałem o mej mocy, którą światło po-

rodziło... całe moje bezgraniczne państwo stopiło się w spowiciu naszych oczu... padłem przed tobą na twarz, a Ty, niewolnica moja, stałaś się panią i królową moją... Kochałem cię, jako wspomnienie czegoś, com dawno zapomniał, com kiedyś przeżył, gdy wraz z Tobą w pralonie pił wieczność... W krew moją wspiewałaś mi dzikie raje, wspiewałaś obce czary, słowa obłędu i upojenia, słowa, które serce moje pieściło i całowało, i tuliło, słowa, których nie rozumiałem, ale które dusza moja widziała nagie i żyjące, które raz już kiedyś przeżyła, gdy wszechistnienia śniła początek...“

Tak mówi potężny władca krainy twórczej, obezwładniony miłością, ginący marnie w objęciach kobiety. Zrywa się i targa więzy; odrzaca kochankę — odzyskuje siłę i moc twórczą, ale jednocześnie poczyna mu zreć duszę szalona tęsknota za — Utraconą!

Wyrwaliśmy pierwszą lepszą kartę z „Epi-psychidiona“ Przybyszewskiego (rok 1897) aby je położyć na próg XX-go wieku, jako błysk zapowiedzi tego, co rozwijające się dopiero na horyzoncie świata stulecie nam przyniesie.

Czy takie preraphaelistyczne „Blessed Damsel“ i „Princesse Maleine“ są również tylko zapowiedzią nowych, innych, doskonalszych wizerunków niewieścich, które ma pierwiej lub później skryształizować dłoń mistrza, co nowoczesne prądy i kierunki opanuje wyjątkowym, piętno nadającym epoce — talentem? Już słyszeć się dają zapewnienia, że to, co dał Maeterlinck, już jest — nieśmiertelnym plonem, już jest doskonałym czynem, już jest węgielnym kamieniem gmachu nowej epoki. Ale sądy wręcz przeciwne nie przycichły. Powołują się one na wpływ sugestyi, podbudzanej gorliwie a sztucznie przez nowatorów, nie tyle łaknących zapełnić świat sztuki arcydziełami, ile świat społeczny byle jakiej próby rozgłosem własnego imienia; powołują się na reakcyjne *szukanie* nowych dróg, co nie jest jednoznaczem ze znalezieniem, nowej a rozwój znamionującej drogi... Wszak druzgoczący wyraz *moda* nie schodzi z wielu pogardliwych ust, przypominających epigramat jeszcze starego Grillparzera:

Betracht' ich meinen neuen Frack  
Mit seiner langen Taille  
Und seh' im Geist der Mode Sturz:  
In nicht gar weiter Ferne  
Trägt wieder man die Taille kurz —  
Wo bleibt da das Moderne?

Wątpliwości jednak nie ulega, że przez rozbity szybę materializmu wdarł się w dziedzinę piśmiennictwa powiew — świeży. Pod technionem jego ożywiła się wydajność gleby i wzmogła się zwłaszcza różnorodność jej kwiatnych kobierców. Na szerokiej przestrzeni zbudził ów powiew do życia niewidzianych dotąd kwiatów i roślin mnogość wielką; czy wzeszły należycie, czy, wątłe, nie powiędną, czy nie wymarzonych to odmian dopiero tylko próbne, koszlawe pomioty? Nie odegnać wracającej wciąż wątpliwości. Czujemy tylko — powiew świeży. I, to wiemy tylko, że jemu zawdzięczamy ostatnie, co do daty, w XX-ym wieku, wspaniałe błysnięcie poezyi wielkiej, niepowszedniej skali.



Zwróćmy się w tę stronę, a w „Zatopionym dzwonie“ Hauptmana znajdziemy dla galeryi niniejszej ostatni z kolei ale pierwszorzędnej piękności wizerunek niewieści.

## SZMAT DOLI.

Jak wybrany z ziarna kłos  
Stoję pośród życia dróg,  
U stóp moich cierń i głóg,  
Ani kropli chłodnych ros.

Wśród złoconych słońcem pól  
Stoję, chłodna, niby głaz,  
Lata płyną, mija czas,  
Nie przemija jeden ból.

Ani mogę tak, jak kwiat  
Komu zechę, zsyłać woń,  
Ni ujawszy drogą dłoń,  
Z ukochanym iść przez świat.

I nie mogę tak, jak ptak,  
Wolnem skrzydłem dali pruć,  
Ani mego życia łódź  
W promienisty wepchnąć szlak.

Lamary.



## Genialny robotnik.

(Dokończenie).

Po sześciu tygodniach ciężkiej ze śmiercią walki, czuł się Pasteur o tyle lepiej, że, oparty na ramieniu żony, mógł przejść z łóżka na fotel.

Lekarze kazali mu niezwłocznie wyjechać na południe i wszelkiej na razie zaniechać pracy. Bezczyne życie było najgorszą męczarnią dla tego ruchliwego, wiecznie czynnego człowieka.

Po chorobie uderza w niego nowa klęska—prusko-francuska wojna. Syn Pasteur'a zaciągnął się w szeregi ochotników. Mijały tygodnie, a nieszczęśliwi rodzice żadnej o swoim dziecku nie otrzymywali wiadomości. Wybrali się wreszcie oboje na smutne poszukiwania i znaleźli syna w małej pogranicznej mieścinie.

Po zbombardowaniu Paryża, które w oczach Pasteur'a było czynem dzikiego barbarzyństwa, gwałtem, dokonany na cywilizacji, odesłał francuski uczone uniwersytetowi w Bonn honorowy dyplom doktora medycyny, którym go zaszczyliła niemiecka Wszechnica.

„Pomimo wysokiego szacunku, jakim przejęty jestem dla znakomitych profesorów, upraszam Uniwersytet w Bonn o wykreślenie mego imienia ze swych akt i o przyjęcie z powrotem dyplomu, którym mnie uniwersytet zaszczylić raczył. Postępek mój jest wyrazem najwyższego oburzenia francuzkiego uczonego dla niemieckiego barbarzyństwa.“

Na dyplomie znajdowało się imię Wilhelma, na które Pasteur nie mógł spoglądać bez żalu po zbombardowaniu Muzeum.

„Jest to,—pisał do niemieckich profesorów,—piętno wiecznej hańby na czole waszego króla.“

Niemcy, rzecz naturalna, oburzyli się i w długi nie pozostali:

„Medyczny fakultet Uniwersytetu w Bonn wyraża Panu niniejszem pismem najwyższą swą pogardę za znieważenie świętej osoby naszego monarchy.“

„Pogarda francuzka,—odpisał jeszcze Pasteur,—znaczy to samo, co *vir clares simum* (sławny mąż), którym mnie zaszczyliciliście w waszym dyplomie.“

Po takiej wymianie uprzejmości, wyznaje Pasteur z całą jemu jednemu właściwą szczerością i prostotą, że nie pojmuje, aby uczeni takie do siebie pisywali rzeczy.

„Serce pęka mi z bólu, że ludzie, jak wy i ja, ludzie, którzy swe życie poświęcili nauce, takim do siebie przemawiają językiem.“

Ale Pasteur miał rację, mówiąc swym uczniom, że ponad wszystkim unosić się będzie zawsze czysta, beznamiętna, wielka nauka. W kilka lat po wojnie, Fryderyk III, ówczesny następca tronu pruskiego, spotkał Pasteur'a, zbliżył się do niego i pierwszy mu podał rękę.

Aby zapłacić Niemcom za zbombardowanie Paryża, postanowił cisnąć w nich Pasteur—nie bombę, lecz beczkę dobrego piwa.

Poszedł z mikroskopem do piwnic, aby odzyskać przyczynę złego piwa. „Jeżeli piwo się psuje,—mówiła niemiecka technika,—nie należy go pić.“

Lecz nikt nie wiedział, dlaczego właściwie piwo się psuje. „Od złych drożdży,—objaśnił Pasteur,—od grzybków fermentacji, które, przedostając się do piwa, czynią je mętnem i szkodliwym dla zdrowia.“

Wynalazł nowy aparat, za pomocą którego dowiódł, że piwo będzie czyste i zdrowe, jeżeli nie przedostaną się do niego mikroorganizmy.

Francuzkie browary wydały się Pasteur'owi zbyt małe dla jego doświadczeń. Wyruszył zatem do Anglii, gdzie wszystko na wielką prowadzi się skalę. Sława niepospolitej uczonego zapewniła mu nader uprzejme nad Tamizą przyjęcie. Anglicy zapragnęli ośnić Francuza wspaniałością i okazałością swych browarów.

Pasteur jednakże, zamiast skamienie ze zdumienia, poprosił o drożdże portera—i oświadczył z punktu Anglikom, że ich drożdże nie są warte. Powiedzieć Anglikowi, że wyrabia zły porter—jest to śmiertelnie go obrazić. Lecz Pasteur z taką imponującą powagą badał przeróżne próbki portera, tak przekonująco i z taką jasnością tłumaczył ich wady, że dumni i zarozumiali, jak zwykle, anglosasi kornie uchyliłi głowy przed jego wiedzą.

„Ten zna się istotnie na rzeczy, jego się w błąd nie wprowadził!“

Wyznali mu nawet, że w kątach piwnic stoją stopy beczek zepsutego piwa. Po tygodniu piwowarzy kupili mikroskopy i zmienili drożdże. Historia pomija milczeniem to zwycięstwo Francji nad Anglią i Niemcami, ale Pasteur mógł być z niego dumny.

W Akademii medycznej, która wielkiego chemika członkiem swym mianowała, spoglą-

dali lekarze nieżyczliwym na Pasteur'a okiem, był on w ich oczach intruzem, który w cudzych polował dobrach. Gdy się zjawiał na posiedzenie, wlokąc swą sparaliżowaną nogę, medycy po cichu drwili z niego: „Jeden jest mikroba na świecie — i Pasteur jego prorok.“ Nie przychodziło nikomu na myśl, że „prorok mikroba“ obrzymiego w medycynie właśnie dokonywał przewrotu. Studenci nie chcieli uczyć się medycyny u chemika. Bardzo nie liczne kółko młodzieży uczęszczało na jego wykłady. Uwagę Pasteur'a zwrócił już wtedy na siebie szczupły młodzieniec—o niepięknej twarzy—lecz ognistym, niezwykle inteligentnym spojrzeniem. Był to Roux który instynktownie czuł, że świta wielka chwila na naukowym horyzoncie.

I chwila przewrotu w medycynie nastąpiła i wywołał ją nie kto inny, jeno chemik Pasteur, odkrywając świat niewidzialnych, zabójczych drobnoustrojów,—odkrycie, dzięki któremu stworzona została antyseptyka i aseptyka i miliony ludzi od niehybnej ratowani są śmierci.

Na wpół sparaliżowany i w lata podeszły Pasteur wciąż pracował bez wytchnienia. Wpadał w szalony gniew, gdy mu o odpoczynku mówiono. Lekarze zabraniali mu zbytnej pracy, przyjaciele mówili: „żyj teraz dla rodziny!“ ale on tymczasem trybu życia w niczem nie zmieniał. Pracował od samego rana, po obiedzie przechadzał się po kurytarzu, myśląc o nowej pracy. Myśl jego, skierowana na jakąś ciemną dziedzinę nauki, rzucała nań snopy oślniewającego światła.

Francja uznała nakoniec niepospolite zasługi wielkiego swego syna. Wyznaczono mu 12,000 fr. rocznej pensji, a po kilku latach 25,000 fr. Człowiek ten darował miliardy swej ojczyźnie! Najciekawszą epokę życia znakomitego uczonego—jest niewątpliwie ta, w której rozpoczął doświadczenia nad szczepieniem dżumy i wściekliczyny. Traf, jak to nieraz bywa, został sprzymierzeńcem nauki i uczonego. Padła jakaś zaraza na bydło i Francja traciła miliony. Zwrócono się po ratunek do Pasteur'a. Ze strony Pasteur'a była to wielka, nadludzka prawie ofiara, którą robił z siebie dla nauki i ludzkości, musiał bowiem pokonać w tym wypadku wrodzony nieprzewyciężony wstręt do trupów i sekcji.

Widok rany sprawiał mu moralny i fizyczny ból; bladł, gdy w jego obecności przecinano zwyczajną wrzodźkę. A tu trzeba było truć zwierzęta, śledzić ich agonię, mieć ciągle do czynienia z trupami. Namietność nauki wszelako i bohaterskie niemal poczucie obowiązku odnoszą świetne zwycięstwo. Pasteur, po długiej i mozolnej pracy daje światu metodę szczepienia zaraźliwych chorób. Pierwsze próby odbywały się na zwierzętach. I tu towarzyszyła zwycięstwu—zacięta walka.

Przez długi czas wierzył w swe odkrycie jeden jedyny Pasteur. Jak Napoleon pod Asterlitz, stoczył nieśmiertelny bojownik nauki generalną bitwę, postawił wszystko na jedną kartę — i wygrał.

Pasteur wahał się atoli długo, zanim się zdecydował pierwszą na człowieku zrobić próbę. Uczeń wszystkich cywilizowanych krajów naglili, zasypywali go telegramami: „Kiedy?“ Pasteur odpowiadał: „Doświadczenie z ludźmi



jeszcze niemożliwe. Robimy trepanację małpy.“ Cesarz brazylijski w sprawie szczepienia żywy brał udział. „Kiedy rozpoczną się szczepienia?“ zapytywał Pasteur’a.

— „Nie mogę—odpisywał Pasteur,—brak mi odwagi dla próby na człowieku, chociaż o rezultacie na chwilę nie wątpię.“

I byłby się może Pasteur wcale na ostateczny krok nie zdecydował, gdyby mu nie byli przywieźli pogryzionego chłopca, małego Alzateczyka, Józefa Meysnera.

Dzieciak miał 14 ran na rękach i nogach. „Wszak on zgubiony—ocal go, jeżeli można!“—błagano Pasteur’a. Pasteur jeszcze się wahał. Zasięgnął rady fizyologa i bakteriologa, obaj uczeni przemówili za natychmiastowem szczepieniem. Przyparty do muru Pasteur—zdecydował się. Dziecko płakało, bało się operacji. Przekonawszy się atoli, że operacja nie zbyt bolesna—uspokoilo się i zaczęło się bawić, lecz w miarę rosnącej wesołości małego pacjenta—wzmagał się niepokój Pasteur’a. Zastrzykiwania powtarzały się codziennie z coraz silniejszym jadem—kuracya szła pomyślnie. Ale Pasteur umierał z obawy. „Tu już nie o biedne zwierzątko chodzi,—lecz o ludzkie życie.“ Przestał pracować, nie jadał, nie sypiał. W przeddzień ostatniego zastrzyknięcia pisała pani Pasteur do swych dzieci: „Jeszcze jedna bezsenna noc dla waszego Ojca.“ Chory tymczasem został ocalony. Metoda szczepienia świetnie odniosła zwycięstwo. Zwożono do Pasteur’a chorych ze wszystkich części świata. Niezmordowany starzec osobiście wszystkim kierował, nad wszystkim czuwał.

Posypały się też hojne ofiary na Pasteurowski Instytut. Zebrano na ten cel w bardzo krótkim czasie przeszło 2½ miliona fr.

Dawali wszyscy, bogaci i biedni, monarchowie, studenci i robotnicy. Pasteur był u szczytu ludzkiego szczęścia, dożył tryumfu swych idei. Na otwarciu Pasteurowskiego Instytutu był obecny cały Paryż—z prezydentem Carnot’em na czele. Sam Pasteur czuł się już wyczerpany i chory. Wzruszenie mówić mu nie dozwoliło. Syn odczytał jego mowę.

„Wchodzę—rzekł,—w te podwoje, ze smutnem uczuciem człowieka, pokonanego czasem. Cmentarna ziemia oddawna zasypała mych nauczycieli i towarzyszy pracy.“

Lecz otaczali go uczniowie—tacy uczniowie, jak Roux; mógł zatem wielki starzec ze słuszną powiedziec sobie dumą, że ogień, który w jego duszy płonął—nie wygasł, i że jego wiedza rozdmuchała iskrę Bożą w innych umysłach.

Na kilka lat przed śmiercią Pasteur’a obchodziła Francya uroczyste 70-letni jubileusz wielkiego swego uczonego. Wybito na jego cześć medale z napisem: „Pasteurowi—wdzięczna Francya i ludzkość.“

Dożył jeszcze Pasteur urzeczywistnienia drugiego gorącego pragnienia swej duszy: widział otwarcie Nowej Sorbonny. Jego następcy nie będą zatem pracowali pod schodami, na strychach, w żebraczych norach. Oczy ma ducha oglądał szereg wspaniałych naukowych odkryć przyszłości. Nie on je zrobi—mniejsza o to, byle były zrobione. Mikrob, odwieczny wróg człowieka—stanie się pokornym jego sługą!...

Starcy żyją zwykle przeszłością—ten starzec zatapiał się cały w przyszłości.

Życie Pasteur’a gasło jednak powoli. Odwiedzających go przyjaciół i uczniów zapytywał zwykle: „Co porabiacie?“—i zaraz dodawał: „Trzeba pracować, trzeba ciągle pracować!...“

Do ostatnich niemal chwil kazał sobie czytywać żywoty wielkich ludzi—radził, aby tego rodzaju książki dawano dzieciom do czytania. „Dziecko to zrozumie, to wszystko wielkie jest, proste i zrozumiałe“—mówił.

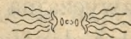
Zgasł spokojnie, poszedł w nieskończoność, w wieczność, do których myśl jego zawsze się wznosiła.

— Nieskończoność—mówił—przepelniona jest cudami i tajemnicami, których słaby ludzki umysł ogarnąć nie może. Bóg jest nieskończonością i wiecznością; wszystko, co żyje, świątynie wznosić Mu będzie.

Opuścił to życie i swym uczniom zostawił wielkie pasteurowskie przykazanie: „Pracujcie!...“

Odwiedzającym go licznie studentom wciąż powtarzał:

— Pracujcie!... Spytajcie siebie naprzód: „Com uczynił dla swego wykształcenia?“—a następnie: „Com uczynił dla mego kraju?...“



## „Pożytek.“



W dniu 11-ym b. m. odbyło się poświęcenie lokalu nowego Stowarzyszenia spożywczego, noszącego miano „Pożytek“, a które od tej chwili rozpoczęło faktyczne swoje istnienie. Poświęcenia dokonał ksiądz Hipolit Skimborowicz, poczem w kilku serdecznych słowach powitał nową instytucję.

Z kolei przemawiali: prezes rady p. Emil Waydel, wice-prezes, p. Bolesław Horodyński i p. Helena Kuczalska.

Nowe Stowarzyszenie tem się różni od istniejącego już od lat 30-tu „Merkurego“, że podejmuje zadanie bez porównania szersze. Oprócz artykułów specjalnie spożywczych, wzorując się na wielu zagranicznych, rozgąłęzionych towarzystwach i spółkach korporacyjnych, będzie ono dostarczało swojej klienteli wszystkich przedmiotów i materiałów, potrzebnych do codziennego i domowego użytku.

Nadto, nowe Stowarzyszenie zaprowadza wielce zachęcające i ważne udogodnienie, a mianowicie: dostawę do domów bądź to zakupionych, bądź zamówionych w Stowarzyszeniu przedmiotów.

Z samego już założenia rodzaju działalności Stowarzyszenia, widzimy, że potrzebuje ono bardzo obszernego pomieszczenia; w myśl tego odrazu poświęconym został „skład“, nie zaś „sklep“, co ma jeszcze i tę dobrą stronę, iż zapewnia znaczną oszczędność kosztów handlowych i administracyjnych.

Skład mieścić będzie tylko towary kolonialne i artykuły żywności, dostarczane z gospodarstw wiejskich. Zamówienia załatwiane będą w ciągu 24-ch godzin. Już sam wzgląd na to, że blizkie sąsiedztwo jednych artyku-

łów z drugimi nie zawsze bywa pożądane, przemawia za tak obmyślonem urządzeniem.

Pierwszy skład znajduje się przy ulicy Erywańskiej pod Nrem 5-ym—i tamże mieszczą się: kantor i biuro administracji. Prócz tych, musi być jeszcze obmyślane pomieszczenie na kantor prób i wzorów.

Od dnia 12-go b. m. kantor wydaje członkom Stowarzyszenia książeczki rozrachunkowe, a dla ułatwienia wpłaty udziału, wynoszącego rubli 15, postanowiono rozłożyć go na raty, po rublu miesięcznie.

Nowe stowarzyszenie przedstawia się tak poważnie, tak rzetelne budzi zaufanie, że chyba zbyt czynnymi są słowa zachęty do przyjmowania w niem czynnego udziału.

„Pożytek“ sam mówi za siebie.

Z. S.



## Z listów do „Bluszczu.“



Paryż, w kwietniu.

Tym razem trudnoby mi było uskarżać się na brak materiału i... sensacyi.

Przedewszystkiem wybory. Co cztery lata Francya zmienia tych, którzy w jej imieniu piją darmo w „buvette“ Pałacu Burbońskiego i palą, również darmo, przewyborne cygara, klóca się, i czasami, gdy nie mają nic innego do roboty, uchwalą jakie nowe prawo.

W tej chwili kandydaci chodzą od sklepu do sklepu, od domu do domu, od bogatego kamienicznika, do łaciarza-szewca, siedzącego w czarnej norze, ściskając dłonie, prawiąc czułości i obiecując złote góry. Obywatel z pierwszego piętra chce mieć „metropolitan“ pod swoją ulicą;—dobrze! kandydat obiecuje. Dorożkarz utrzymuje, że „metropolitan“, czyli ta świetna paryzka kolej podziemna, niszczy zupełnie przemysł dorożkarski i nie chce zupełnie „metropolitanu.“ Dobrze! Kandydat obiecuje, że zamknie to „nędzne przedsiębiorstwo, oparte na wielkich kapitałach, niszczące drobny przemysł.“

Domy aż pstrzą się od różnokolorowych afiszów, z wzajemnymi wymyślaniami i dyfamacjami kandydatów; Paryż aż po pierwsze piętro cały kolorowy, czerwony, jaskrawy, barwny, po to, aby wydać szereg... bardzo błędnych deputowanych.

„Figaro“ i „Presse“ urządziły nawet rodzaj loteryjki na wybory: kto określi z list kandydackich nazwiska przyszłych deputowanych, otrzyma w nagrodę od drobiazgow aż do 100,000 franków gotówką.

Po za temi sensacyami mieliśmy sezon konkursów: koński—czyli hippiczny, w którym rozgrywano nagrody dla najlepiej skaczących koni i najwytrzymalej jeżdzących panów; rolniczy, na którym hodowcy i rolnicy Francyi pokazali, co umieją i wreszcie malarski—słynny „Salon“—otwarcie sezonu wiosennego, w dniu *vernissage*’u.

Dla pań był to szereg wystaw tualetowych, jeden wielki wspaniały pokaz nowych kostymów, które stają się jakby doprowadzeniem kostyumu „genre tailleur“ do kombinacji ze



stylem Ludwika XV-go, co razem jest bardzo ładne.

Na głowach widziałem całe kosze kwiatów, owoce, wiśnie zwłaszcza. Zresztą było to wszystko ładne, bardzo ładne, ale ja tego tak, jak potrzeba, opisać nie potrafię: poplącę jeszcze „baskiny“ modne u żabotów jedwabnych z „inkrustacyami“ na kołnierzach i paltotach, przybranych lekkimi, jak puchy, *crêpe chiffon* i potem może być z tego jakie nieszczęście.

Więc opowiem trochę o „Salonie.“

Był, jak wiadomo, jeden wielki doroczny „Salon“, w którym obok najwybitniejszych artystów francuzkich, grupowali się artyści wszelkich narodowości.

Ale znaleźli się ludzie z temperamentem żadnym nowości i zmian, a że przepoważne, sucho-akademickie *jury* poodrzucało im obrazy, więc utworzyli secesję czyli obecnie otwarty Salon, zwany dawniej des Champ de Mars, dzisiaj zaś nazywający się wystawą „des Beaux-Arts“, w odróżnieniu od dawnego Salonu, zwanego „Société nationale des artistes Français.“

Od tego Salonu oderwała się wreszcie jeszcze jedna grupa, która utworzyła trzeci Salon, zwany „des Indépendants.“ W tym trzecim Salonie widziałem obok bardzo dobrych prac, jak np. niektóre krajobrazy przepyszne w tonie, że wspomnę prace Raula Carré i Gustawa Cariot, także obrazki tak śmieszne, że mimowoli człowiek śmiać się zaczyna. Są to obrazki malowane tak, jak nieraz dzieci rysują, albo „artyści“ żydowscy malują szyldy na Nalewkach. To tutaj, w „Indépendants“, nazywa się szczerą naiwnością.

Salon des Beaux-Arts otworzony uroczystie przez prezydenta Loubet'a, po niemniej uroczystym dniu *vernissage'u* stał się dostępnym dla publiczności.

W roku bieżącym areydział, ani prac nowych, zaciekawiających, zwiastujących jakieś nowe kierunki czy pomysły—niema.

Przeważa poszukiwanie trochę mglistych nastrojów, krajobrazów, przesłoniętych jakby obłokiem kurzu czy dymu, z sylwetami drzew i domów majaczących niepewnie w dali. Oddaje to dobrze drganie powietrza i lekkie bardzo przedwieczne mgły, ale nuży swą monotonią. Nietylko jednak krajobrazy, za Turnerem są na tę modłę malowane; wnętrza, portrety w tym samym rodzaju spotyka się co krok. Tu ojcem kierunku jest zdaje się Carrière, ze swemi stonowanymi obrazami, trochę widmowymi i tajemniczymi, w których kontury rozplývają się jakby w cieniach przedwiecznych, kiedy w pokoju półjasnym rozmajaczy we fioletach cudna godzina zmierzchu.

Po za tem uderza dziwny, szczególnie u Francuzów brak treści anegdotycznej w obrazie. Po tylu dziełach, w których temat niemal literacki przeważał, po obrazach symbolicznych, nastąpił obecnie powrót do umiłowania czysto malarskiego plamy i kolorytu dla nich samych, dla zestawienia ciekawych barwnych kontrastów bez troski o fabułę obrazu. Ztąd wiele studyów i krajobrazów, zanik zupełny obrazów historycznych, z historii przeszłej, i co dziwniejsze prawie zupełny brak studyów nagich ciał kobiecych.

Nie znaczy to bynajmniej, aby kult pogań-

ski ciała miał ginąć we Francji, ale dowodzi, że malarze chwilowo przynajmniej uznali, że malowanie ciała kobiecego jest w ogóle bardzo trudne i coraz uciążliwsze wobec wyzyskania chyba wszystkich póż, jakie człowiek wymyślić umiał.

Następnie do ogólnej charakterystyki Salonu dodać muszę to jeszcze, że wszystkich *wielkich* artystów poznaje się odrazu z daleka, z drugiego końca sali. W dzisiejszych czasach nadmiernej specjalizacji, spowodowanej coraz kunsztowniejszym rozdziałem pracy, ku szybszej działalności skierowanej, artyści wielcy, uznani, stają się mimowoli przez prąd walki o byt — specjalistami, równymi owym średniowiecznym majstrom, którzy hierarchicznie, z ojca na syna, zawsze tę samą uprawiali sztukę. Inaczej, ale w podobnym kierunku idą sprawy artystyczne dzisiejsze.

Artystów jest coraz więcej, ale odbiorcy nie wzrastają bynajmniej w odpowiednim stopniu.

Cóż więc się dzieje? Oto artysta, który z dziś na jutro staje się sławnym za dany efekt świetlny, lub za konia, tak a nie inaczej namalowanego, chcąc utrzymać swą sławę w sile, powtarza sam siebie, odtwarza ten sam efekt oświetlenia lub rysuje tegoż konia aż do śmierci, z małymi zmianami w stafażu.

Wypływa ztąd zwyczajna maniera, zwana pospolicie „rodzajem“ danego artysty.

Nie wielu jest artystów takich, którzy niezadowolony z laurów, szukają ciągle czegoś nowego, jak u nas np. Wyczółkowski, którego twórczość idzie seryjami czy cyklami dzieł, szukających pewnych efektów, coraz to nowszych.

Mistrzowie francuzcy raz znalazłszy swój „rodzaj“, hołdują mu stale i nieodmiennie, tak dalece, że widząc jeden obraz, zna się prawie wszystkie.

Że zaś najlepsze obrazy Salonu należą do tej właśnie kategorii artystów, więc określiwszy w paru słowach zalety i wady ich dzieł, charakteryzuje się niejako całą ich twórczość.

Wyliczę jednak najszczuplejszą garść, pomijając wielu, świetnych nawet, gdyż najlepsza nawet charakterystyka nie zastąpi i nie określi tych nieuchwytnych dla słowa ludzkiego odcieni kolorytu czy subtelności rysunkowych.

Więc słówko o Gastonie Latouche, malarzu, który nieporównanie odtwarza subtelne „wnętrza“ eleganckich buduarów, rozblýskujące jarzącymi światłami sale balowe, sceny z teatrów, z życia swobodnego i wesołego „high-life'u“, obok niezrównanych pejzażów. Latouche'a charakteryzuje rysunek wytworny i przepyszny złoty koloryt, gorący, jakby oświetlenie ostatnich słonecznych promieni.

Podobny nieco koloryt, również złocisty, ciepły, posiada w krajobrazach swych René Ménard, który celuje zwłaszcza w efektach zachodzącego słońca. Wszelako tak jeden, jak i drugi z tych malarzy, pomimo wszelkich swych zalet, nużą monotonią zawsze jednokiej manieri.

Le Sidauer daje krajobrazy również, ale jakieś zamglone, z widmowymi sylwetami drzew na dalszych planach; Carrière, słynny ze swych rozartych w tonie, przymglonych

portretów, pełnych ogromnego uczucia, da teraz studia śpiącej kobiety, aż rzeźbiarsko modelowanej. Cottet, to znakomity malarz życia Bretończyków, pełnego grozy i smutku, zabiegów i znoju, walki ze zwyciężkim zawsze potworem—morzem. Lucyan Simon również bretońskie opowiada dzieje, a jego „Sala balowa“ daje nam niezmiernie żywy obraz zabawy ludowej. Szczególnie zaś świetnym jest jego „Wieczorna rozmowa“ rodziny zgrupowanej przy stole. Pełne to siły i ekspresyji, a proste i niewymuszone w układzie. Loup, to malarz znakomitych nastrojów, kobiet malowanych w tonacji ciemnej, z ogromnym uczuciem, pejzażów nadzwyczajnych, wyglądających, jak spłowiałe gobeliny.

Dział portretowy jest bardzo bogaty. Widzimy nader słaby, jakiś pobieżny i nienaturalny zbiorowy portret rodziny Carolusa Duran'a, jeden dobry portret damy w białej sukni Dagnan-Bouveret'a, znakomity portret pędzla Garrido przedstawiający rodaczkę naszą, malarzkę panią Paleczną; ciekawe, surowe nieco, ale bardzo głęboko pojęte amerykańskie portrety panny Beaux, Browne'a, Weerts'a (Francuza), Recknagel'a, Roederstein'a, Vos'a ciekawe chińskie portrety, między innymi dobry portret księcia Ching'a. John Sargent dał parę portretów bardzo głębokich w wyrazie, ale sztywnych i brudnych w tonie.

Nie mogłem też w żaden sposób wykrzesać w sobie owego obowiązkowego entuzjazmu wobec dzieł Whistler'a.

Smutne, ponure, przebronzowane, robią wrażenie prawie przykre, są przytem, dla mnie przynajmniej, za uczone, a za mało szczerze. Jest w nich coś drewnianego, ciosanego, kolorowanego posępnie, trumiennie. Taka „Fryne“ jest wprost odpychająca w interpretacji Whistlerowskiej.

La Gandara, ów subtelny portrecista, dał w tym roku zmienione wydanie i słabsze o wiele, niestety, ze znanego portretu z Luksemburga. Thaulon dał dobre bardzo krajobrazy; Tournès nader mile i subtelnie malowane studium pleców kobiecych. Ciekawe są efekty światła na wodzie Harrison'a.

Urzędowe malarstwo przedstawione jest na szczęście bardzo nielicznie, ale za to niedość. Gerrex wymalował bardzo źle i zgoła nie wyzyskując efektów, znany „Bankiet merów w Paryżu.“ Riexens zaś dał dość barwnie, ale sztywno skomponowane płótno, upamiętniające „Jubileusz Pasteur'a.“ Nie mogę zapomnieć o karykaturalno-satyrycznych obrazach Veber'a, świetnego kolorysty, który smaga ironią i humorem, śmiejącym się przez łzy, wszelkie zło ludzkie. Jego „Maszyna“, miażdżąca ciała ludzkie, jest nader ciekawym obrazem.

A teraz *nas*.

Prym trzyma znana tak zaszczytnie u nas i w Niemczech, a teraz coraz więcej we Francji i w Anglii, panna Olga Boznańska, która dała cztery dzieła, z których jedno, jak głoszają wieści, będzie zakupione przez rząd do Muzeum Luksemburskiego i byłoby pierwszym dziełem polskiego pędzla, wchodzącym w skład tej galeryi najprzedniejszych dzieł nowoczesnego malarstwa.



Portrety panny Boznańskiej mają tak niezmiernie wybitną indywidualną cechę, że wyróżniają się wprost wśród zgromadzonych dzieł w Salonie, będąc zresztą jednymi z najlepszych portretów z całej wystawy.

Blade w tonie, niebieskawo-sinawym, bledszym jeszcze, niż zazwyczaj, trochę mgliste, całe w „monachijskiej“ plamie, której jednak Boznańska nadała swoją własną, odrębną indywidualność; rozwiane w rysunku portrety tej artystki, żyją zdaje się tylko oczyma, które błyskają życiem, palą się niemal. Mniej świetnym jest portret p. Myrton-Michalskiego, bardzo zresztą umiejętnie malowany, ale trochę sztywny i mało indywidualności zdradzający.

Dwa debiuty, dwa zgoła nieznane nazwiska na naszych wystawach, ukazały się odrazu w Salonie.

Pani Melania Muttermilchowa dała dobry i silny pastel baletnicy, śmiało i z życiem traktowany, zaś panna Anna Gramatykówna, korzystając może z opieki swego profesora, wystawiła bardzo nędzną, aż śmieszna rzecz, nazwaną „Villa Silenzio...“

Więc silentium o tem, lepiej to może dla młodej artystki, której zawczasu w pismach krakowskich sążnistą zrobiono już reklamę.

W dziale rzeźby stanął w szrankach jeden tylko Polak: Bolesław Biegas.

Dawno już, w czasie wystawy higienicznej w Warszawie, do obecnego redaktora „Bluszcza“, wówczas kierownika literackiego „Tygodnika ilustrowanego“, piszący te słowa przyszedł z fotografiami, zwracając uwagę na ten samorodny talent.

Dzisiaj Biegas wystawiał z powodzeniem swe prace w „Secesyi“ wiedeńskiej, w Monachium, a obecnie w Paryżu, w „Salonie“, oraz w „Salon des Indépendants.“

W „Salonie“ jest tego artysty bardzo odzuty i pełen charakteru portret panny Boznańskiej, u „Niezależnych“ zaś szereg kompozycji symbolicznych, pełnych żywiołowej jakiejś siły. Ciekawym bardzo jest „Chopin“, płaskorzeźba, którą niezadługo zobaczycie w Warszawie.

Kończę notatkę o pierwszym dniu wyborów, który przeszedł spokojnie, przynosząc w Paryżu zwycięstwo nacyonalistom, a na prowincyi obozowi ministeryalnemu. W każdym razie gabinet dzisiejszy pp. Waldeck-Rousseau ustąpi.

Kiedy się patrzyło na te afisze przedwyborcze, na te wzajemne steki infamii wylewane na głowy kandydatów, przez przeciwnie im partye i gdy się pomyśli, że jeden z tych oplwanych, przenicowanych moralnie panów, będzie przedstawiał lud w parlamencie, to albo człowiekowi przychodzi do głowy myśl: „z jakichże szubrawców złoży się ten parlament...“, albo odejdzie raz na zewsze ochota o marzeniach republikańskich.

K. Daniłowicz-Strzelbicki.



## Kronika działalności kobiecej.



— P. Zofia Orłowska, nauczycielka prywatna, otrzymała pozwolenie właściwej władzy na otwórczenie w Warszawie na rok jeden, tytułem próby „Niedzielnej szkoły dla rękodzielniczek.“

Będzie to u nas pierwsza próba podobnej szkoły dla dziewcząt. Dotychczas jedynie chłopcy ze szkół takich korzystają. Życzyć należy p. Orłowskiej jaknajszerszego w przedsięwziętej pracy powodzenia, praca to wielce pożyteczna, i wątpić chyba niepodobna, by każda inteligentna i zacna kobieta, stojąca na czele jakiegoś zakładu, w którym pracują dziewczęta, czynną zachęta przedsięwzięcia panny Orłowskiej nie poparła.

Gdzież np. te biedne, od dzieciństwa zapracowane dziewczątka, pełniące rolę terminatorów w pracowniach, nabyć mogą choćby tylko najbardziej elementarnego wykształcenia? Rosną, jak dziczki i z powodu braku najkonieczniejszych wiadomości, skazane pozostają zawsze na poniewierkę i na obniżenie cen ich pracy.

Szkoła panny Orłowskiej otwartą zostanie z dniem 1-ym września r. b. w lokalu pensyi, utrzymywanej przez p. Julię Jankowską, przy ulicy Nowogrodzkiej. Nauki wykładane będą w każdą niedzielę i każde święto rzymsko-katolickie, od godziny 2—5-jej. Oby się nasze przewidywania ziściły i do szkoły panny Orłowskiej tłumnie napłynęły uczennice.

— P. Marya Dobrowolska, zamieszkała w Warszawie, złożyła podanie o pozwolenie założenia w Płońsku przytułku dla przychodnich dzieci ubogich rodziców, wyrobników i rękodzielniczek. Zakład ma być prowadzony systemem froeblovskim.

— W Londynie od roku 1888-go, istnieje Towarzystwo kolonii letnich dla kobiet pracujących, podupadłych na zdrowiu (Factory Girls Country Holiday Fund). Zmarła księżna Adelaida Teck była czynną protektorką Towarzystwa i dzięki jej, rozwinęło się ono znakomicie.

Założycielka Towarzystwa, miss Marya Canney, wysłała w r. 1888-ym na wieś, rodzajem próby, trzy pierwsze, wycieńczone pracą robotnice fabryczne. Rezultat okazał się tak pomyślnym, że jeszcze tego samego roku miss Canney umieściła na wsi jeszcze 38 robotnic. Od tego czasu działalność Towarzystwa kolonii dla pracujących kobiet rozwinęła się bardzo szybko. W roku 1895-ym wysłanych było kobiet 875, obecnie liczba ta wzrosła jeszcze znacznie. Długość pobytu na wsi zależy od stanu zdrowia wysłanej, wynosi od 3—8 tygodni.

— Wyższe zakłady naukowe we Francyi, z wyjątkiem wyższych szkół technicznych, liczą ogółem 30,370 słuchaczy. W liczbie tej 1084 kobiet, 673 Francuzek i 411 cudzoziemek. Medycynę studjuje kobiet 412, prawo—21, matematykę i nauki przyrodzone—98, filozofię i filologię—360, farmacyę—73.

— W Berlinie założono nowe pismo, pod nazwą: „Chrześcijańska kobieta;“ pismo to, wyraźnie zaznaczające dążenia katolicyzmu, pozostaje pod protektorem prezesa „Stowarzyszenia miłosierdzia,“ monsignora Werthmana i kierunkiem pisarki E. U. Hamanówny.

— Tamże otwartą została nowa szkoła pielęgnowania chorych. Ustawy jej obejmują, co do nauki, wyższe jeszcze wymagania, niżli to było w szkołach dotychczasowych, nie pomijając materialnej strony, t. j. przyszłych zarobków i normując mniej więcej wynagrodzenie dozorczyń.

— Panna Fanny Moser z Au (Szwajcarya) doktoryzowała się w uniwersytecie Monachijskim i otrzymała stopień doktora filozofii magna cum laude.

— Córka zmarłego we Francyi artysty malarza, Gallimarda, przekazała majątek swój Towarzystwu sztuk pięknych w Paryżu, z warunkiem, żeby Towarzystwo zajmowało się kształceniem niezamożnych a utalentowanych dziewcząt, bądź to w malarstwie, bądź w rzeźbie. Majątek, przekazany Towarzystwu przez pannę Gallimard, oprócz willi podmiejskiej w okolicach Paryża, przedstawia rentę roczną, wynoszącą 24 tysiące franków.

Z. S.



## Na półkach księgarskich.



— Ks. dr. Kazimierz Wais: **Psychologia**, tom II-gi, duża ósemka, str. 219. Warszawa, marzec, 1902. Wydanie „Biblioteki dzieł chrześcijańskich.“

Teorya marzeń sennych, somnambulizmu i hipnozy, oraz pamięć, jej rodzaje, własności i choroby stanowią treść rozdziału pierwszego tego tomu „Psychologii.“ W rozdziałach następnym mówi autor o pożądanym w ogólności, o władzy ruchu i lokalizacjach mózgowych, zatrzymując się dłużej nad frenologią, którą nazywa mrzonką naukową, przechodzi następnie do dzisiejszych badań nad lokalizacją i przedstawia ich wyniki. Początek części drugiej, zawierający się jeszcze w tym tomie, traktuje o rozumie. Mnóstwo cytat łacińskich, podanych bez przekładu polskiego, utrudnia zrozumienie dzieła, oznaczającego się po za tem przystępnością i jasnością wykładu.

— Jan Sztolcman: **Nad Nilem niebieskim**. Warszawa, 1902. Nakład „Łowca Polskiego.“

Jest to zajmujący opis wyprawy myśliwskiej Józefa hr. Potockiego do Sudanu. Autor sam był uczestnikiem wyprawy uwięzionej świetnym rezultatem, gdyż w przeciągu 23 dni, spędzonych na terenach myśliwskich, zabito 44 sztuki grubego zwierza; że zaś z owych 23 dni trzeba odtrącić 10 dni na marsze, przygotowanie zabitych okazów i t. d., przeto, według skrupulatnego wyliczenia p. Sztolcmana, polowanie zajęło tylko pełnych dni 15. W przeciągu tego czasu zabito między innymi słonia, lwicę, hypopotama, bawołu, kilka antylop, kilkanaście gazeli i jednego phacochera (rodzaj dzika). Styl lekki i gładki sprawia, że książkę p. Sztolcmana, którą J. Rapacki ozdobił licznymi ilustracjami, czyta się z prawdziwą przyjemnością. Bardzo wszakże niemiłe wrażenie czynią błędy zecerskie w rodzaju: „w pustym domie zajeżdżnym,“ „jednego ładunka,“ zam. ładunku, „parę piotr wysoki,“ „mówiemy“ i t. d. Zewnętrzna strona książki, piękny druk i papier doskonały, sprawiają prawdziwie estetyczne wrażenie.

A. J.



## ODPOWIEDZI.

— XXX.—Kwiaty świeże, przysłane ze Lwowa kronikarzowi „Bluszcza“, p. Kazimierzowi Glińskiemu, zostały przez nas adresatowi wręzone.

### Treść numeru:

Adam Belcikowski, przez M. G.—Przystań, powieść współczesna, przez J. Terpilowską (ciąg dalszy). — Przyczyny i skutki. III., przez W. Grot-Beczowską (Korotyńska). — Nad modrym Dunajem (z poematu «Sobieski pod Wiedniem»), przez Deotymę (ciąg dalszy). — Typy niewieście w literaturze XIX-go wieku: VIII. Kobiety szarady i symbole, przez Cz. Jankowskiego (dokończenie). — Szmat doli (wiersz), przez Lemary'ego. — Genialny robotnik (dokończenie). — «Pożytek,» przez Z. S.—Z listów do „Bluszcza:“ przez K. Daniłowicza-Strzelbickiego. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S.—Z półek księgarskich. — Odpowiedzi. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się nowella Anny Wahlenberg p. t.: „Czas to pieniądź“ i początek powieści R. Monlaur'a p. t. „Promień,“ w przekładzie M. ...tz.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 16), oraz Tablica krojów.





# HERMAN & GROSSMAN



Warszawa, 16 Mazowiecka 16.  
PETERSBURG — MOSKWA — LUBLIN

## Fortepiany, Pianina, Organy

fabryk krajowych i zagranicznych w wielkim wyborze

Sprzedaż na rozplaty miesięczne po 25 rb.

WYNAJEM WYBOROWYCH INSTRUMENTÓW

Angelus — Orchestral „SYMPHONY”

Piano — „CROWN” 15

Cenniki ilustrowane gratis. Telefon № 812.

# KRYNICA

dom „POD WAVELEM” na wzgórzu, naprzeciw łaźniek borowinowych. Pokoje umeblowane z pościelą, usługą i całodziennym utrzymaniem.

Zeleszkiewicz i Kaczkowska.

## GRONKIEWICZ

Królewska 5.

Telefon 1758 — w Warszawie.

Poleca osoby pracujące w dziale Nauki i Wychowania, Handlu, Przemysłu, Rolnictwa i Różne, tylko z dobrymi poufnie sprawdzonymi referencjami.

# MAGAZYN MÓD

## E. Loth

Saski Plac 5.

poleca w dużym wyborze

## KAPELUSZE WIOSENNE

Ceny umiarkowane.

Magazyn Mebli oraz Zakład Tapicersko-Dekoracyjny

## Ant. STRÓMIŁO

25. BRACKA 25.

Poleca całkowite urządzenia apartamentów od najskromniejszych do najwykwintniejszych. — Stołarnia własna. — Ceny niskie.

Skład wyrobów gumowych, Cerat i Środków opatrunkowych i Nowości. ☼☼☼

## G. EHLERT

Warszawa, Senatorska № 19.  
I-sze piętro.

Poleca: **Wszelkie przyrządy chirurgiczne, Płótna gumowe pod chorych, Termometry, Barometry, Ceraty i Serwety na stoły, Szczoteczki do zębów, Grzebienie. Rakiety i piłki do Lawn-Tennisu. Oddział Fonografów** czysto oddających muzykę, śpiew i deklamacje.  
**OBSEUGA ŻEŃSKA DLA PAŃ.**

# „ZORZA”

## Pracownia Haftów Stylowych

ORAZ

## SZTUKI STOSOWANEJ.

WARSZAWA, WSPÓLNA № 45.

## Dezynfekcyja

i czyszczenie pierzy, włosów materacowych.

Ubrania po chorych etc. **Marszałkowska 33.**

## MICHAŁA ARCTA

w Warszawie, Nowy Świat 53.

Dr. fil. O. Altenburg

## ZAGADNIENIA PRAKTYCZNE Z PSYCHOLOGJI WYCHOWAWCZEJ

Przekład Izabeli Moszczeńskiej.

TREŚĆ: Pilność i uwaga. — Właściwości psychologiczne. Cena 40 kop.

W. James (I. Moszczeńska).

## POGADANKI PSYCHOLOGICZNE

TREŚĆ: Psychologia i sztuka nauczania. Prąd świadomości. — Dziecko jako organizm działający. — Wychowanie i działanie. — Reakcja. — Przyzwyczajenie. — Kожарzenie wyobrażeń. — Zainteresowanie. — Uwaga. — Pamięć. — Nabywanie wyobrażeń. — Aперcepcja. — Wola. Cena 60 kop.

Dr. F. Scholtz. **WADY CHARAKTERU** dziecięcego i ich leczenie. — 75

Kowerska Z. **WYCHOWANIE MACIERZYŃSKIE.** Wyd. II. — 1 20

Wernic H. **WYCHOWANIE DZIECKA** do lat 6-ci. Wyd. II. — 20

Śniadecki J. **FIZYCZNE WYCHOWANIE DZIECI** nap. A. Brzozowska. — 10

Oltuszewski Wł. Dr. **NIEMOTA, BŁKOTANIE, MOWA NOSOWA, JAKANIE.** Przyczyny i leczenie. Hygiene mowy. — 30

## S. A. Krzyżanowski

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT w KRAKOWIE, poleca

Jakubowski L. M. Dr. Prof. Wskazówki żywienia i pielęgnowania dzieci w pierwszym roku życia. Wydanie 2-gie przejrane i uzupełnione przez autora.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Stacya kolei Muszyna-Krynica z Krakowa 7 g. jazdy, ze Lwowa 11 godz. Budapesztu 12 godzin.

Poczta (3 razy dziennie) i urząd telegraficzny w miejscu.

## KRYNICA

c. k. Zakład Zdrojowy w Krynicy.

W Karpatach 600 m. n. p. m. — Od stacyi kolejowej Muszyna — Krynica godzina bitej drogi. Na stacyi wygodne powozy.

Środki lecznicze: Zdroje: „Zdrój główny”, „Słotwinka” i „Zdrój Józefa” bardzo silnej szczawiny wapienne — i magneziowo-sodowo-żelazistej. Kąpiele mineralne bardzo obfite w kwas węglowy wolny, metodą Schwarza ogrzewane. Nader skuteczne kąpiele borowinowe. Kąpiele gazowe z czystego kwasu węglowego. Skarbowy Zakład hydropatyczny pod kierunkiem specjalisty D-ra H. Ebersa. Kąpiele rzeczne, słoneczne, elektryczne, miasmienie (massage) leczenia dytetyczne i tere nowe. Klimat wzmacniający podalpejski. Wody mineralne krajowe i wszelkie inne zagraniczne. Kefir, żentycja, mleko sterylizowane. Gimnastyka lecznicza. Apteka. Lekarz zakławy: Dr. L. Kopff z Krakowa stale cały sezon ordynujący. Nadto 12 lekarzy wolno praktykujących. Rozległe spacery. Park szpilkowy koło 100 morgów. 1500 pokoi z zupełnym urządzeniem. Kościół rz. kat. Cerkiew. Restauracye. Pensjonaty. Czytelnia. Dom zdrojowy. Stała muzyka zdrojowa. Stały teatr. Frekwencya w r. 1901 — 6268 osób. Bliższych wyjaśnień na żądanie udziela, broszury i prospekta rozsela c. k. Zarząd zdrojowy w Krynicy.

## Vin Saint-Raphaël

rekomenduje się jako toniczne, wzmacniające i pomagające trawieniu. najlepszy przyjaciel żołądka.

Broszura d-ra de Barre.

o winie St. Raphaël, jako o pożywnym, wzmacniającym środku, wysła się na żądanie.



Smak jego jest wyśmienity.

Compagnie du Vin Saint-Raphaël

VALENCE, DROME, FRANCE.

Ostrzega się przeciw podrobieniu.

ZOSTAJĄCE POD ZWIERZCHNICTWEM MINISTERJUM SKARBUM

## Kursy Handlowe Żeńskie

Z pensjonatem **Teodory RACZKOWSKIEJ** Żórawia № 6.

Zapis słuchaczek na r. 1902/3 i egzaminy dla nowostępujących od d. 15 maja.

**Kursy wieczorne roczne** pojedynczych przedmiotów specjalności handlowej, grup takowych, oraz języków nowożytnych. Zapis słuchaczek od d. 15 maja.

## FUTRA

na letnie przechowanie

Przyjmuje i zabiera własną kartką bez dopłaty.

**KUŚNIERZ JAN RUDZIŃSKI** Marszałkowska 117.

Pierwsza w kraju specjalna fabryka

## WÓZKÓW

## i WELOCYPEDÓW

Marszałkowska 53.

poleca: wózki dziecinne od rb. 6 — 60.  
wózki trzykołowe dla dzieci mogących siedzieć od rb. 8 — 30.  
welocypedy od rb. 5 — 15.  
wózki fotele dla chorych najnowszych fasonów od rb. 25 — 100.

## OBICIA

PAPIEROWE

oraz odnawianie lokali, TANI!

## STEFAN LOBER

MARSZAŁKOWSKA № 117 (w podwórzu).

## Marya Matuszewska

Przełożona Pensyi VI-kl. żeńskiej

w Warszawie przy ulicy Leszno № 28 zawiadamia, iż egzaminy i zapisy uczennic na rok przyszły odbywają się od dnia 10 maja do 1 Lipca r. b.

## ZAKŁAD OGRODNICZY B. SOLNICKI

ul. Marszałkowska № 85.

POLECA wszelkie roboty Ogrodnicze jako i Bukieciarskie po cenach bardzo przystępnych. 17

We wszystkich księgarniach sprzedają się dzieła pedagogiczne Reussnera do bardzo prędkiej i najłatwiejszej nauki Języków Obcych bez nauczyciela z objaśnieniem wymowy i kluczem, pod tyt.

## SAMOUCZEK

**Polsko-Francuski** kurs I-szy kop. 1.20 — kurs II-gi kop. 3.20.

**Gramatyka polsko-francuska** kop. 1.20.

**Polsko-Ruski** kurs I-szy k. 1.40. kurs II-gi kop. 1.80. 9

Skład u autora, Warszawa, Złota № 6